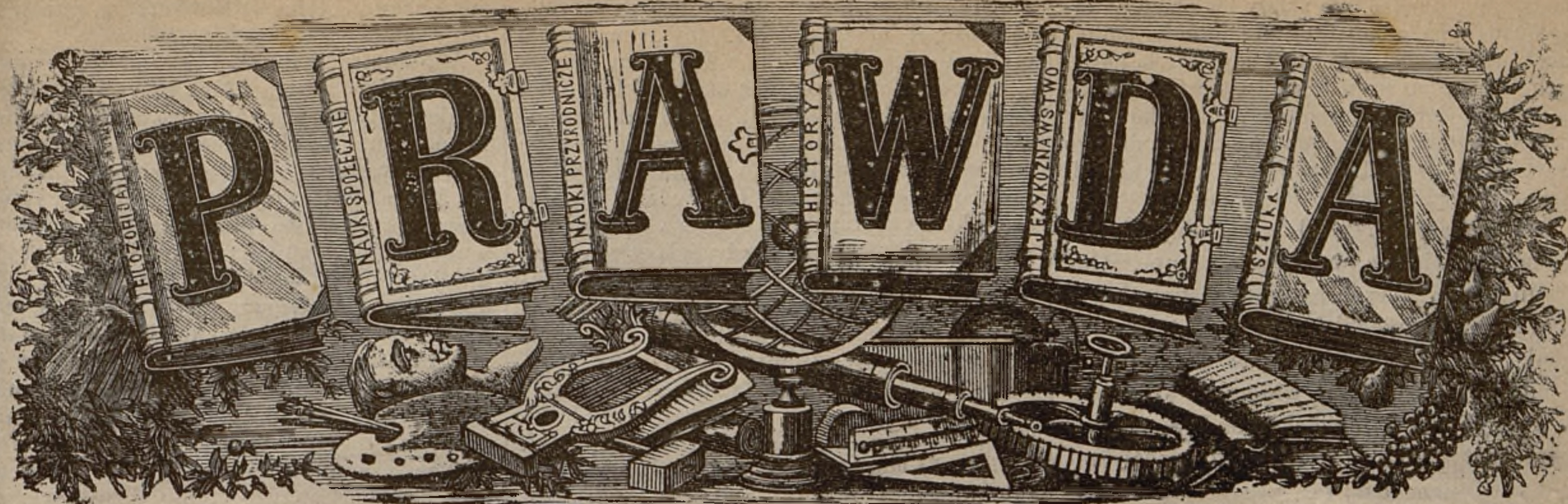
№ 47. Warszawa, dnia 24 (12) Listopada 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

UKŁADY Z WATYKANEM.

Ponieważ Leon XIII jest wyłącznie politykiem i dyplomatą, więc po odwiedzinach cesarza niemieckiego, które ostatecznie go rozczarowały, zaczął myśleć o innych stosunkach i szukać innych sojuszów. Pomimo tajenia i zacierania prawdy przez prasę watykańską, rozczarowanie to nie jest już dziś dla nikogo wątpliwem, a wywołać je mogła sama obojętność Wilhelma II dla marzeń papieskich i dowody przyjaźni okazano królowi włoskiemu. Nie zapominajmy bowiem, że od lat wielu między Leonem XIII a rządem niemieckim splatał się węzeł ścisłych serdeczności: znaczne unieważnienie praw majowych, rozjemstwo w sporze o wyspy Karolińskie, nagięcie stronnictwa katolickiego w sejmie do celów rządowych, mianowanie Dindera arcybiskupem poznańskim, okólniki zaprowadzające język niemiecki przy wykładzie religii, order Chrystusa dany Bismarkowi—wszystko to mogło papieża natchnąć przekonaniem, że Niemcy roztaczają nad nim skrzydła opiekuńcze. Z tą wiarą powitał on u siebie ich monarchę i nagle spostrzegł, że przyjaciel pozwala mu jedynie marzyć, ale pięknych snów jego urzeczywistniać nie myśli. Zawód zbyt był dotkliwym, ażeby roztopił się w bezsilnej boleści i nie pobudził do odwetu a przynajmniej do zmiany przymierza.

Naprzód zwrócił się Leon XIII ku Francyi. Rząd radykalny nie mógł mu dać wiele — kilka grzecznych i wymijających zapewnień. Wprawdzie Stolica apostolska dla nadania wartości swoim usługom oddziałała jednocześnie na Hiszpanię, przysuwając ją ku sąsiadce, ale i za to Rzeczpospolita nie zapłaciła ceną swych zasad. Daleko większą nadzieję i prawdopodobniejszą korzyść przedstawiały układy z inną stroną— z Rosyą. Cała prasa ruska zaręcza, że one nietylko rozpoczęły się, ale nawet że znajdują się na najlepszej drodze, że prowadzący je w Watykanie p. Izwolski z większem niż na wiosnę powodzeniem podjął swą pracę. Ponieważ prasa ta jest jedynem źródłem naszych wiadomości w tym przedmiocie i ponieważ jej wywody są bardzo pouczające, więc je w streszczeniu powtórzymy czytelnikom naszym.

Najobszerniej rozpisało się *Now. Wremia*. Przedewszystkiem odpiera ono przymówki *Nordd. Allg. Ztng*, upatrującej w owych rokowaniach ostrze zwrócone przeciwko Niemcom. Bynajmniej jestto sprawa domowa, a jeśli nawet posiada szersze znaczenie polityczne, to nie wychodzi po za granice potrzebnych dla każdego państwa stosunków przyjaźni.

„Kwestya katolicka—powiada *N. Wremia*—jest równie ważną dla nas, jak i dla Niemiec; chociaż w Niemczech więcej niż trzecią część ludności stanowią katolicy, u nas zaś zaledwie od 6 do 7%, ale za to katolicyzm, jako sztandar polityczny, wcale nie ma w Niemczech tego znaczenia anti-państwowego, co w Rosyi, gdzie jednoczy się z polszczyzną. W każdym razie nie chcemy wyrzekać się swej ludności katolickiej, ani też nie mamy zamiaru narzucać jej wiary panującej, a ponieważ katolicyzm bez zwierzchnictwa Stolicy świętej nie da się wyobrazić, pozostaje tylko dla własnego spokoju wynaleźć jakiś *modus vivendi*. Stosunki przyjacielskie z papieżem konieczne są dla nas, nietylko dla spokojnego zarządu kresami zachodnimi, ale też i w ekonomii ogólnej naszych stosunków politycznych w Europie. Papież to taki „atut," który lepiej mieć podczas gry w swych ręku, aniżeli widzieć go w ręku przeciwników. Siłą okoliczności stał się żywiołem, z którym dyplomacya nasza liczyć się musi, jeżeli nie chce przeoczyć wypadków, jak przeoczyła sposobność bliższego związku z Francyą, Stanami Zjednoczonymi, Hiszpanią, jak utraciła panujący wpływ nasz w maleńkich państewkach półwyspu Bałkańskiego, utworzonych kosztem krwi ruskiej. Stosunki nasze z papieżem nie są ścisłe z trzech powodów: naprzód z powodu współczucia, jeżeli nie pomocy ubocznej, jakie Rosya okazała zjednoczeniu Włoch, spodziewając się przez to osłabić Austryę i skarcić ją za niegodne postępowanie podczas wojny krymskiej; powtóre z powodu kwestyi polskiej, w której winnem było jezuickie otoczenie Piusa IX; w końcu, z powodu ścisłej przyjaźni Rosyi z Niemcami w chwili, gdy te rozpoczęły zaciekłą walkę przeciw hierarchii katolickiej. Kwestya polska zmieniła się znacznie; cenę przyjaźni z Niemcami poznaliśmy jeszcze na kongresie berlińskim; zapłatę za nią otrzymaliśmy w umowie tajnej między Niemcami i Austro-Węgrami w 1879 r. Pozostają zatem niewyjaśnionymi zupełnie tylko dalsze nasze stosunki co do zjednoczenia Włoch. A tymczasem nie ulega wątpliwości, iż posiadamy obecnie na morzu Śródziemnem przeciwnika groźnego i poważnego, państwo, które wzniósłszy się przez zdradę i przemoc, musi mimowoli prowadzić grę podwójną i mącić wodę. Jakkolwiek przyznać słuszność dążeniu narodowości włoskich do zjednoczenia, jednak dwieście milionów katolików i niezliczona armia duchowieństwa katolickiego, rozrzucone po całym świecie, z trudnością strawią myśl, że to zjednoczenie odbyło się kosztem obalenia tronu papieskiego, pozbawienia go tego, czem władał spokojnie od lat tysiąca. Rabunek, jak wiadomo, sięgnął nietylko posiadłości papieża, objął pałace, galerye, przedmioty starożytności itp. Jak tam załatwią swe stosunki Włochy ze Stolicą papieską, przewidzieć trudno; ale to nie ulega wątpliwości, że w obecnym stanie, stosunki te są rakiem, który widocznie toczy organizm państwowy włoski. Pozorna bezsilność papieża, nie dowodzi niczego. Wszakże i dawniej papieże bywali w mocy gubernatorów bizantyńskich i królów francuskich. Napoleon I próbował więzić papieża, lecz potęga Stolicy apostolskiej nie zmniejszała się z tego powodu, wzrastała raczej; pozostaje ona w prostym związku z poglądami mas, a reakcye religijne są bardzo możliwe w niedalekiej przyszłości. Trzeba spojrzeć tylko na olbrzymie postępy katolicyzmu w Holandyi, Anglii i Stanach Zjednoczonych, jakie tam porobił w ostatnich czasach. Jeżeli więc takie jest znaczenie papieża we Włoszech, to widocznie papież jest naszym jedynym sprzymierzeńcem politycznym; tylko przez papieża możemy mieć należny wpływ we Włoszech, i dlatego też Rosya powinna przeszkadzać wszystkiemu, co wiedzie do unicestwienia powagi i zmniejszenia władzy papie-

ża. Ma się rozumieć, nie należy jej z tego powodu składać na ofiarę swej niezależności politycznej, zapominać o Polsce i zawierać bezmyślnych konkordatów; wszakże ustępstwa rozumne, uwzględnienie położenia papieża, jako głowy Kościoła katolickiego, pewne poszanowanie jego praw, jako osoby koronowanej, winny ustawicznie kierować naszemi działaniami.

Jak widzimy, *Now. Wremia* obiecuje sobie bardzo wiele z pozyskania „atuta.“ Czy według jego życzeń rozdane zostaną karty w Watykanie, niedaleka przyszłość nas objaśni. Tyle wszakże już teraz widzimy, że dzienniki papieskie są widocznie uradowane z przybycia p. Izwolskiego. Jeden z nich ogłosił natychmiast tę nowinę, drugi oświadczył, że „przyjazd ów przyprawił o zawrót głowy ludzi z Konsulty (minist. spraw zagr.). „Nerwowa drażliwość rządu włoskiego — powiada dalej *La voce della Verita* — do której przywykliśmy już od wielu miesięcy, nigdy nie uwydatniła się tak dalece, jak w obecnej chwili.“ Jest to zapewne przesada i przechwałka, ale znamionuje wysokie zadowolenie Watykanu.

Jakkolwiek *Nordd. Allg. Ztng* twierdzi, że „zgoda Rosyi z papieżem może być dla Niemiec tylko przyjemną,“ ich straż dyplomatyczna w Watykanie spokojnie nie zaśnie. Według *Now. Wremia*, pewien rosyjski mąż stanu wyraził kiedyś wątpliwość, ażeby „Leon Makow (zawiadujący wówczas wydziałem wyznań obcych) zdołał wyprowadzić w pole Leona XIII,“ a wogóle dyplomaci papiescy uważani są w prasie ruskiej za najprzebieglejszych. Zobaczymy, czy tę sławę usprawiedliwią.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Cesarz niemiecki postanowił bezwzględnie dzielić odrazę ks. Bismarka do postępowców i nie pomija żadnego wypadku, który mu pozwala ją upuścić. Wyraził ją na przyjęciu deputacyi miejskiej po powrocie z Włoch, dodał do tych słów objaśnienie na piśmie, nareszcie w Wrocławiu, gdzie z urny wyszedł zwycięzko konserwatysta, oświadczył burmistrzowi, że „tym razem wybory wypadły dobrze.“ Wilhelm I, chociaż serce swoje również otwierał tylko dla prawicy parlamentarnej, usiłował zachować pozory monarchy, unoszącego się po nad stronnictwami; jego wnuk nie udaje i otwarcie powiada, że te wybory są „dobre,“ które dostarczają konserwatystów lub narodowo-liberałów. Dostrzegłszy ten gust, żywioły pragnące i mogące dogodzić cesarzowi, zaczęły mu ze wszystkich stron winszować telegramami zwycięztwa kandydatów pożądanych. Pomijając nadmiar przyjemności odczytywania tylu depesz, zaczęło to ubliżać monarsze, który z przewodnika narodu zamienił się na przewodnika partyi. To też *Nordd. Allg. Ztng* otrzymała rozkaz zahamowania tych wylewów landracko-junkierskiej radości, spływającej po drucie telegraficznym do gabinetu cesarskiego.

Jedne z najemnych pism niemieckich twierdzą, że rząd wymagać będzie od parlamentu kilkuset milionów marek dodatku na potrzeby wojskowe, inne zaś — że nie weźmie ani feniga. Jest to zwykły sposób „obrabiania opinii,“ która, zmęczywszy się temi sprzecznemi doniesieniami, zapragnie w końcu, ażeby one chociaż sprawdziły się w mierze średniej, przeciętnej, ażeby zadowolono się kilkudziesięciu milionami. Wtedy z taką skromną prośbą wystąpi ks. Bismark i uzyska zgodę. Nie zaniedbano przytem użycia dwu zwykłych a zawsze bardzo skutecznych środków: straszenia od zachodu Francyą, a od wschodu—Rosyą. *Nordd. Allg. Ztng* już wielokrotnie dowiodła, że na Francyę spadnie odpowiedzialność za naruszenie pokoju; inne zaś gazety, grające z nią w jednej orkiestrze, wskazują na przysuwanie się wojsk ruskich i obniżają kurs rubla. Wszystko to w połączeniu okaże swój doskonały wpływ, kiedy zstąpi z obłoków kanclerz i podstawi posłom torbę wojenną, ażeby w nią wytrząsnęli z kieszeni narodu nowe miliony.

Jak zwykle o tej porze, pękają ciągle w gazetach pogłoski niepokojące. Sztab włoski miał się porozumieć z niemieckim co do wspólnego planu działań, Francya na zbrojenie się poświęca miliardy, Austrya zażądała na tenże cel sum olbrzymich itd.— ale kiedy te wysiłki dojdą do swego kresu i kiedy wreszcie obladowana gromami chmura wyrzuci z siebie grad piorunów? Bo już nawet tak okropna klęska wydaje się Europie dobrodziejstwem w porównaniu z dręczącą trwogą bez końca.

Wewnętrzny rozkład Francyi przygotowywa jakąś burzę, która oczyści powietrze z miazmatów i pozwoli narodowi odetchnąć w spokoju. Każdy niemal dzień wyrzuca tam na wierzch jakąś zgniliznę. Deputowany Numa Gilly oskarżył gromadę swych towarzyszów a członków komisyi budżetowej o przekupstwa, łapówki od zarządów kolejowych i innych przedsiębiorstw. Jeden z nich Andrieux wytoczył mu proces, ale ponieważ sąd nie chciał rozbierać dowodów oskarżonego, złożonych przeciw innym posłom i zejść z gruntu czysto formalnego, Gilly zaś oświadczył, że nie zamierzał zniesławić Andrieux'go, ten cofnął skargę i sprawa upadła. Ale nie upadł zarzut, obciążający wielu deputowanych a z nimi całą Izbę i rząd republikański, zwłaszcza że Gilly wystąpił z broszurą, rozpościerającą szeroko oskarżenie pierwotne. Jednocześnie Wilson, zięć Grevego, ma ściągnąć do kałaży, w której sam ugrzązł, innych winowajców. Słowem otworzyła się znowu we Francyi otchłań zgnilizny, której nie nakryje i nie zatka wyrok sądu umarzający cząstkę wielkiego procesu. Że Boulanger i jego wspólnicy zaczną łowić dla siebie ryby w tej błotnej wodzie — jest pewnem.

Okręty niemieckie i angielskie, mające blokować wybrzeże wschodnie Afryki, już odpłynęły. Francya nie przyłączyła się do tej wyprawy.

Król duński obchodzi jubileusz swego panowania. Na uroczystość tę wyjechał Następca Tronu ruskiego.

SPRAWY EKONOMICZNE.

NOWE TARYFY ZBOŻOWE.

W Petersburgu i Moskwie odbyły się dwa wielkie zjazdy przedstawicieli dróg państwa ruskiego dla ostatecznego uregulowania taryf zbożowych. Naradom podlegały następujące punkty: 1) Określenie różnicy stosunków opłat do portów baltyckich i południowych, zależnie od kosztów dostawy zboża do głównego miejsca zbytu, tj. do portów angielskich. 2) Określenie stosunku,

Nad brzegiem morza.

Guy de Maupassant.

Cannes.

Książęta, książęta, na każdym kroku książęta! Ci, co się lubują ich widokiem, są uszczęśliwieni.

Zaledwiem stąpił, wczoraj rano, na Kroazetę, uprzywilejowane miejsce przechadzki, spotkałem ich trzech jednego za drugim. W naszym kraju demokratycznym Cannes stało się miastem utytułowanych.

Gdyby można zajrzeć do mózgu ludzkiego tak, jak po zdjęciu pokrywy zaglądamy do rądla, zobaczylibyśmy liczby w głowie matematyka, sylwetki aktorów gestykulujących i deklamujących w głowie dramaturga, postać kobiety w głowie zakochanego, sprośne obrazy w głowie rozpustnika, wiersze w głowie poety; ale w czaszkach ludzi przybywających do Cannes znalezionoby korony najróżnorodniejszych kształtów, pływające jak kluski w rosole.

Jedni zbierają się w knajpach, bo lubią karty, [illegible] na polu wyścigów, bo się kochają w koniach; ci zaś, co się gromadzą w Cannes, przepadają za Ich Książęcemi Mościami.

Te rozmaite Mości czują się tam jak u siebie i panują w salonach, nie mogąc panować w królestwach, których zostali pozbawieni.

Można ich sobie dobrać wedle gustu; są: wielcy i mali, biedni i bogaci, smutni i weseli, wszyscy jednakże skromni, starają się podobać i w stosunkach ze zwykłymi śmiertelnikami zachowują delikatność i uprzejmość, jakiej się nie spotyka nigdy u naszych deputowanych, tych książąt wyborów.

Ale jeżeli książęta, biedni tułacze, bez budżetu i poddanych, żyją jak mieszczanie w tem kwietnem i wykwintnem mieście, są skromni i nie okrywają się śmiesznością w oczach nawet najsurowszych, inaczej się rzecz ma z ich wielbicielami.

Ci bowiem krążą wkoło swych bożyszcz z przejęciem religijnem i komicznem, a będąc pozbawieni jednego księcia, gonią za drugim, jak gdyby ich usta nic innego wymówić nie mogły nad „Wasza Wysokość.“

Nie można z nimi pięć minut rozmawiać, żeby nie posłyszeć, co książę odpowiedział, jak księżna się uśmiechnęła i jakie rzuciła słówko dowcipne, lub z jakim wdziękiem zaprosiła ich na zamierzoną wycieczkę. Czujesz, widzisz, odgadujesz, że bywają jedynie u osób, w których żyłach płynie krew królewska i jeśli się zniżają do mówienia z tobą, to dlatego tylko, by cię objaśnić, co się dzieje w sferach wyższych.

A jakie staczają zaciekłe walki, jakich używają niemożliwych wybiegów, byle przynajmniej raz mieć u siebie na obiedzie księcia! Jaki się w innych budzi szacunek, jeśli ktoś np. należy do partyi *lawn-tennis* wielkiego księcia.

Zdobycie sobie możności zapisania się na liście w przedpokoju tych „wygnańców,“ jak ich Daudet nazywa, tych bankrutów, jakby ich nazwał ktoś inny, stanowi ciągłe, gorączkowe, pochłaniające całą ich istotę zajęcie. Lista znajduje się w ręku dwu lokajów; jeden z nich podaje ci pióro, piszesz swe nazwisko pod szeregami paru tysięcy innych rozmaitego gatunku, wśród których tytuły przeważają, a „de“ się roją. Potem odchodzisz z dumą i uszczęśliwieniem człowieka, spełniającego czyn szlachetny lub jakiś święty obowiązek, a spotkawszy pierwszego znajomego, mówisz z uczuciem pychy: „Zapisałem się u wielkiego księcia de Gérolstein.“ Wieczorem przy obiedzie dodajesz z naciskiem: „Przed chwilą na liście wielkiego księcia de Gérolstein zauważyłem nazwiska de X..., X..., Z...“ — a wszyscy słuchają z zajęciem, jakby szło o wypadek wielkiej wagi.

Dlaczego wszakże mamy się śmiać z niewinnej słabostki wielbicieli książąt, kiedy w Paryżu i większych miastach spotykamy pięćdziesiąt różnych odmian, niemniej zabawnych lubowników *wielkich ludzi*!

jaki zachowywany być winien między frachtami do portów południowych, północnych i do stacyj wywozu zboża na granicy lądowej. 3) Zbadanie sprawy, jakie mianowicie okolice korzystać winny z danego punktu wywozu oraz z dostawy do wewnętrznych rynków spożywczych moskiewskiego i warszawskiego. Rezultatem tych badań miało być ustanowienie ogólnych opłat przewozowych z miejsc wysłania do punktów wywozu i rynków wymienionych, oraz wskazanie kierunków kolejowych naturalnego przebiegu zboża. Jak widzimy z wielkiego zakresu w punktach powyższych, przedstawiciele kolejowi mieli olbrzymią pracę, której nie zdołali pokonać i sami przyznali się do bardzo małego przygotowania, co uniemożliwiło ustanowienie zasad stałych na obecnym już zjeździe. Postanowiono się zająć regulacyą taryfową w sprawie próby, a jej rezultaty dopiero po całorocznej praktyce mogą dać pewną rękojmię w dalszych stanowczych reformach. Cyfry ogólne określono na zjeździe moskiewskim; szczegółowo tablice taryfowe (dwie grube księgi) opracowano w Petersburgu. Zjazd, stale trzymając się wskazówek praktycznych z lat poprzednich, nie oznaczył jednej normy przewozowej od puda i wiorsty na wszystkich kolejach; uznał podział państwa na oddzielne okręgi za niemożliwy w danej chwili i podał do regulacyi tylko taryfy przewozowe do punktów wywożących zboże za granicę. Na podstawie danych statystycznych wybrano kilkanaście punktów wewnątrz państwa, w których skupia się zboże na wywóz przeznaczone (Białobród, Orzeł, Worożba, Bachmacz, Jelec, Griazi, Kozłów, Riażsk, Kursk, Romny). Od punktów tych określono opłaty do portów angielskich, z uwzględnieniem różnic frachtów morskich. Tym sposobem cyfry opłat od punktów węzłowych do różnych rynków wywozowych wypadły rozmaicie. Są one sumą opłat pobieranych przez rozmaite koleje, po których dany wagon zboża od punktu węzłowego do eksportowego przebiega. Bardzo ważną sprawą było uregulowanie stosunku między Królestwem a Gdańskiem i Libawą pod względem opłat od punktów węzłowych. Wskutek pruskich środków represyjnych, rząd jeszcze w roku zeszłym zastanawiał się nad sprawą zwrócenia handlu wywozowego na Libawę, przy wielkiem utrudnieniu handlu na Królewiec i Gdańsk. Niezależnie od tego, co rząd orzeknie, zjazd ustanowił dla Libawy frachty niższe od opłat do Królewca o rs. 6 od wagonu. Taryfy do Gdańska oznaczono na podstawie opłat do Królewca, z zachowaniem różnic na korzyść tego ostatniego i z okolic przerzniętych przez drogę Kursko-Kijowską — rs. 10 od wagonu, z kolei Fastowskiej i Południowo-Zachodnich — rs. 8 kop. 42 i z pozostałych dróg południowych i północnych — rs. 7 kop. 50 od wagonu. Opłaty do punktów wywozowych na granicy Królestwa Polskiego (do Aleksandrowa, Granicy i Sosnowic) uregulowano w stosunku do Libawy, z zachowaniem na korzyść tej ostatniej — rs. 4 od wagonu, jako różnicę ceny przewozowej między Libawą *via* Szczecin do Berlina. Taryfy przewozowe do pogranicznych punktów na południu Królestwa postawiono w zależności od opłat do Radziwiłowa i Wołoczysk, z zachowaniem na korzyść tych dwu ostatnich rs. 51 od wagonu tj. w przybliżeniu takiej sumy, jaką stanowi fracht przewozowy dróg austryackich od Brodów lub Podwołoczysk do Krakowa (Trzebini). Sprawa ta ostatnia zależy od dobrowolnego układu między drogami południowo-zachodniemi i siecią dróg Królestwa. Specyalny sprawozdawca *Kraju*, zastanawiając się nad tym punktem, robi spostrzeżenie, że ustosunkowanie opłat na korzyść handlu przez Brody, stawia w uprzywilejowanych warunkach rolników gub. podolskiej, wołyńskiej i kijowskiej, dając przewagę zbożu z tych okolic na rynkach austryackich nad wywozem z innych okolic przez Królestwo do Austryi i Szląsku pruskiego. Z tego względu układ powyższy musi okazać wpływ ujemny na zachwiany i tak już tranzyt zboża przez Królestwo wogóle, a Warszawę w szczególności. Od chwili bowiem cel odwetowych pruskich na zboże nałożonych, tranzyt przez Warszawę, a zatem i jej rynek, już i tak utracił znaczenie międzynarodowego. Zboże z Cesarstwa musi więc, szukając dróg zbytu, w wielkich ilościach przybywać na rynek Królestwa w widokach zbytu na miejscu, przez co ceny zboża produkowanego w Królestwie muszą zniżce podlegać. Pomimo iż pszenica polska, jako domieszka do pszenicy z Cesarstwa, wpływa dodatnio na ceny zboża w Anglii, jest lekceważoną w części. Przyczynia się do tego wielki napływ do portów prusko-baltyckich zboża z odległych gubernij Cesarstwa, jako następstwo nizkich cen frachtu kolejowego. Sprawę frachtów kolejowych dla wewnętrznych rynków zbytu (Warszawa, Moskwa) zjazd pozostawił otwartą, zastrzegając, aby rynki te nie korzystały z cen frachtowych niższych, niż rynki wywozowe. Kwestya ta na następnej kadencyi będzie szczegółowo rozpatrywaną. Obrady powyższe wywołały w prasie mnóstwo wniosków podstawnych i bezzasadnych, jak zwykle. Między innemi *Now. Wremia* zwraca uwagę, iż w tak skomplikowanej sprawie obradowali przedstawiciele tylko jednej strony. Gdyby jednak dopuszczono drugą — rolników — czy byliby świadomi rzeczy zawiłych, nad któremi specyaliści muszą się nie mało pocić? Mogłoby w części sprawę tę pogodzić zastosowanie się do projektu *Kraju*: powinna tu wziąć udział sekcya poświęcona rolnictwu przy warszawskim oddziale Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Również warto, aby się tem zajęły towarzystwa rolnicze i komitety giełdowe. Uwagi odnośne za wspólnem porozumieniem należałoby przesyłać albo instytucyom centralnym (Towarzystwo przemysłowe w Petersburgu, Towarzystwo wolno-ekonomiczne, korzystające z prawa wstawiennictwa u rządu), albo wprost radzie kolejowej, gdzie zasiadają przedstawiciele handlu i rolnictwa.

Drogomir.

BADANIA NAUKOWE.

TYPY UMYSŁOWE.

Na początku roku przeszłego mówiliśmy w *Prawdzie* o typach zawodowych. Od tego czasu ukazało się kilka drobniejszych rozpraw w tym kierunku, wśród których należałoby wymienić przedewszystkiem prace Tardea i Topinarda. O ile można sądzić, prawdopodobnie każdy rodzaj działalności, jeżeli odpowiednia osoba znajduje w nim upodobanie, odbija się w szczególnych znamionach antropologicznych. Lecz na dzisiaj jest to przypuszczenie, oczekujące dopiero od przyszłości udowodnienia naukowego. Obecnie wzięto się zaledwie do gromadzenia materyału surowego; antropologia kryminalistyczna z jednej, artystów i uczonych

---

Kto tylko więcej przyjmuje, niezmiernie mu na tem zależy, żeby mógł w swoim salonie poszczycić się „znakomitościami,“ na które urządza prawdziwe polowanie.

Niema kobiety najlepszego nawet towarzystwa, któraby nie pragnęła mieć swego lub swoich artystów. Daje dla nich obiady, aby wiedziano w mieście i na prowincyi, że się u niej zbiera inteligencya.

Gonić za uczonością, której się nie posiada, lub talentami, czyż to nie toż samo, co gonić za stosunkami książęcymi?

Najbardziej poszukiwani pomiędzy wielkościami zarówno przez młode, jak stare kobiety, są bez zaprzeczenia muzycy. Niektóre domy posiadają całe ich zbiory. Co prawda, artyści owi odznaczają się nieoszacowanym przymiotem, mianowicie: są na wieczorach pożyteczni. Jeśli się wszakże chce mieć okazy bardzo rzadkie, więcej nad dwóch jednocześnie zebrać nie można. Dodajmy, że niema poniżenia, do jakiego by się nie posunęła kobieta światowa, prowadząca dom otwarty, byle tylko ozdobić swój salon znakomitym kompozytorem. Drobne uprzejmości, jakich się zwykle używa dla przyciągnięcia malarza lub prostego literata, są niedostateczne, gdy idzie o muzyka. Usidla się go środkami niezwykłymi. Całują go w ręce, jak króla, klękają przed nim, jak przed Bogiem, jeśli raczył zagrać swoje „Regina Coeli.“ Noszą w pierścionku włosek z jego brody, kupują medalion święty a nietykalny, ukryty wśród łona na łańcuszku złotym, a zawierający guzik od ubrania, oderwany przy żywszem poruszeniu ręki, kiedy wykonywał swój „Słodki spoczynek.“

Malarze są w mniejszej cenie, jakkolwiek bardzo jeszcze poszukiwani. Mają w sobie mniej boskości, a więcej cyganeryi. Ich chód nie jest dość miękim a przedewszystkiem nie dość wzniosłym. Często zastępują prawdziwe natchnienie facecyami i niedorzecznymi konceptami, słowem, czuć ich za bardzo pracownią; ci zaś, którzy wskutek dbałości o siebie pozbyli się tej cechy, zanadto są sztywni. Zresztą malarz to wietrznik, zmiennik, żadna kobieta nie może być go pewną, gdy tymczasem muzyk tworzy sobie gniazdko w rodzinie.

Od pewnego czasu i literaci dosyć są poszukiwani. Literat posiada nawet pewne przymioty: przedewszystkiem mówi, mówi długo, mówi wiele, mówi dla wszystkich, a ponieważ z urzędu musi być inteligentnym, można więc z pełnem zaufaniem słuchać go i podziwiać.

Kobieta, którą opanuje dziwaczny gust posiadania w swoim salonie literata, jak posiadamy gadatliwą papugę ku uciesze sąsiednich kumoszek, może wybierać między poetami a powieściopisarzami. Poeci są idealniejsi, powieściopisarze — oryginalniejsi. Poeci sentymentalniejsi, powieściopisarze — pozytywniejsi. Rzecz upodobania i temperamentu. Poeta zdradza więcej serca, powieściopisarz — dowcipu, ale ten ostatni naraża nas na niebezpieczeństwo, od którego jesteśmy wolni z poetą: szpera, podpatruje, podsłuchuje i wyszukuje wszystko, co mu podpadnie pod oczy. Nigdy nie możesz być pewną, czy jednego pięknego poranku nie pomieści cię żywcem na kartkach swej książki. Jego oko — to pompa chłonąca wszystko; ma rękę złodzieja wiecznie czynną. Nic nie ujdzie jego uwagi; zbiera i gromadzi bezustanku: ruchy, spojrzenia, zamysły, półsłówka, najdrobniejszy czyn, najmniejsze skinienie; gromadzi od ran do wieczora spostrzeżenia wszelkiego rodzaju, tworzy z nich opowieści na sprzedaż, opowieści obiegające świat cały, czytane, rozbierane przez tysiące, miliony ludzi. A co najstraszniejsza, to, że niepoń odda mimowoli wiernie, co widział, bo patrzy trafnie, a opowiada jasno. Mimo usiłowań, jakie dokłada, by zamaskować osobistość, powiedzą: „Poznałeś pana X... i panią Y...? Uderzająco podobni.“

W nęceniu do domu powieściopisarza takie samo grozi niebezpieczeństwo ludziom światowym, jakieby groziło kupcowi, gdyby w składach mąki wychowywał szczury.

Jednakże mają łaski.

Otóż jeśli kobieta upatrzy sobie pisarza, którego chce przyswoić, rozpoczyna oblężenie od grzecznostek, pochlebstw, słodkich słówek. Jak woda, padające kropla po kropli, żłobi najtwardszą skałę, tak pochlebstwa

z drugiej, stanowią najważniejsze w tej mierze posterunki. Dziś zatrzymamy się nad wskazówkami, dostarczanemi przez studya o twórczości naukowej i artystycznej. Chodzi nam o wyznaczenie dźwięku pomiędzy różnemi jej kategoryami a typami antropologicznymi ludzi nauki i sztuki. Rozumie się, iż sama natura przedmiotu określa warunki badania. Z konieczności wypada przedewszystkiem wyosobnić pewne najcharakterystyczniejsze typy i zająć się nimi, podobnie jak postępuje psychiatrya, z masy obłąkańców i newropatyków wydobywająca tylko postacie szczególne i krańcowe. Weźmy np. takiego Cauchy, Eulera lub innego z wybitnych przedstawicieli wiedzy ścisłej. Cały świat zamienia się dla nich jedynie w szereg formuł matematycznych. Cauchy „zajmował się ułożeniem wzorów dla ruchu, lecz tak, iżby nie czynić najmniejszej hypotezy co do składu poruszającego się ciała.“ Umysły matematyczne wyciskają odpowiednie piętno na wszystkich objawach działalności. Napier, ojciec logarytmów i zarazem jeden z najfanatyczniejszych członków synodu presbyteryańskiego, w rozprawy publiczne wniósł szczególną formę dowodzenia i przekonywania — jego mowy zbudowane były według planu twierdzeń geometrycznych. Cauchy, altruista, dał wygląd matematyczny nawet samym czynom miłosierdzia. Widział przed sobą nie żywe, cierpiące osoby, lecz bezosobiste szematy zbiorowe. Z drugiej strony występuje malarz Correggio, dla którego wszystko utonęło w wrażeniach barwy i formy. Nadaremnie w jego obrazach poszukiwalibyśmy czegoś więcej — istnieje tu tylko barwa. Jak Cauchy wszędzie widział wzory analityczno-matematyczne i gotów był pojmować wszechświat, jako jeden olbrzymi splot formuł ruchu, podobnież artysta włoski zamieniłby go w zbiorowisko barw. Czyżby takie stany duchowe szły w odosobnieniu od innych znamion antropologicznych? Wydaje się to już z góry wątpliwem.

Pierwszą systematyczną próbę oznaczenia wytycznych punktów w tej dziedzinie przedstawiają prace (francuskie) Wjeszniakowa *). Rozpatrując produkcyę naukową, wyróżnił on trzy zasadnicze grupy umysłów: wielostronną, jednostronną i filozoficzną. Pierwsza zawiera w sobie uczonych, którzy pracują kolejno w kilku odmiennych, a niezależnych gałęziach wiedzy, wzbogacając je nowemi zdobyczami. Rozpatrywszy ogół działalności naukowej osobnika tej kategoryi, widzimy przed sobą mnóstwo nawzajem niezależnych urywków, tak, iż zdaje się, jak gdybyśmy mieli do czynienia z rezultatami pracy kilku odmiennych uczonych. Okoliczności zewnętrzne, przypadkowe, odgrywają wielką rolę w wyborze samych przedmiotów badania! Jako przykład można wskazać Humboldta. Wstąpiwszy do uniwersytetu, zapisał się na nauki kameralne, później wziął się do technologii, studyując jednocześnie historyę naturalną, fizykę i język grecki — ostatecznie zaś napisał rozprawę o tkactwie u starożytnych greków. W roku dwudziestym zwraca się do zoologii i mineralogii, odbywa podróż naukową w okolice Renu, słucha wykładów w hamburskiej szkole handlowej i w akademii górniczej w Freiburgu, gdzie dostaje posadę rządową, bada mchy okoliczne i pisze o tym przedmiocie poważną rozprawę. W 26 roku rzuca urzędowanie, studyuje botanikę w Wiedniu, anatomię w Jenie; oddaje się nadto samoistnym poszukiwaniom nad elektrycznością zwierzęcą i meteorologią. Wreszcie w 30 roku rozpoczynają się podróże, w których bada temperaturę, magnetyzm ziemski, zjawiska astronomiczne, oddziaływanie wulkanów na powierzchnię ziemi, prądy morskie, objawy społeczne, etnograficzne itd.; po powrocie do Europy opracowywa zebrane rezultaty i wydaje dzieła, których nakład kosztuje 300 tys. talarów. Jednocześnie bada godzinne odchylenia strzałki magnesowej, bierze udział w publicystyce i wreszcie w 41 roku zabiera się do języków wschodnich. Od roku 60—90 poświęca się geografii, astrognozyi, magnetyzmowi ziemskiemu i meteorologii, streszczając wyniki uprzedniej swej działalności naukowej; w 75 roku przystępuje do wydawania *Kosmosu*, do którego się bierze, nie przedstawiając sobie jasno planu dzieła; podróżuje po Rosyi, bada literaturę filologiczną, studyuje poezyę. Typ taki, wielostronny, stoi w zupełnej sprzeczności z jednostronnym. Oto znamiona ostatniego: poświęcenie się wyłącznie jakiejś szczególnej i ściśnionej dziedzinie zjawisk, uprawianie jej z całem przejęciem się i namiętnością; wybitna dążność do możliwie szczegółowego i drobiazgowego zgłębienia odnośnej sfery faktów i doześrodkowania, jak dokoła ogniska przewodniego, mnóstwa urywków naukowych. Jednostki tej grupy są zwykle z wyników swych badań niezadowolone i wciąż usiłują je powiększyć nowymi drobiazgami; zdolność zauważania nowych szczegółów dosięga olbrzymiego stopnia wykończenia i delikatności. Z tego to powodu rzadko bywają inicyatorami lub twórcami nowych kierunków. Jako przedstawiciela tej grupy można przytoczyć znanego matematyka-fizyka Fresnela — wziął się on już w roku dziewiątym życia do spostrzeżeń barometrycznych; ukończył politechnikę i całe życie poświęcił studyom nad pewnemi zjawiskami świetlnemi.

Mamy w ten sposób przed sobą dwa rodzaje umysłowości: wielostronny i jednostronny. Przyjrzyjmy się innym właściwościom obu tych grup. Przy bliższem badaniu przedewszystkiem rzuca się w oczy kilka następujących a wysoce charakterystycznych szczegółów. Uczeni typu wielostronnego zwykle dobiegają bardzo późnego wieku, zachowując do końca całą dzielność umysłową. Humboldt dożył lat 90, a jakkolwiek już w 84 rozpoczyna się u niego upadek zdolności słuchowych i ruchowych, wszakże jasność umysłu nie opuszcza go aż do ostatniej chwili. Tymczasem coś innego zgoła spostrzegamy wśród przedstawicieli grupy jednostronnej. Krótkość życia stanowi tu najwybitniejszą cechę wraz z upadkiem zdolności umysłowych — Fresnel umiera w 39 roku życia z postępowego wyczerpania, połączonego z zupełnem osłabieniem umysłu. W pożyciu towarzyskiem ludzie tacy, jak Humboldt, z łatwością przystosowują się do otoczenia społecznego i oswajają się z najrozmaitszemi przekonaniami, wówczas gdy badacze typu jednostronnego wyróżniają się rozdrażnieniem, nietolerancyą i niezdolnością do zawierania stosunków osobistych. W ten sposób, z tego lub tamtego pokroju działalnością naukową zespala się mnóstwo cech innych. Mimowolnie nasuwa się pytanie, czy przyczyny tego zjawiska nie należałoby szukać głębiej, w samym układzie systemu nerwowego? Rozpatrzmy typ wielostronny z jego

*) Prace te, ogłoszone niewielkiemi broszurami, należą do rzadkości bibliograficznych, tak, iż mimo starań, zaledwie mogliśmy dostać niektóre. Noszą one zbiorowy tytuł: *Recherches sur les conditions anthropologiques de la production scientifique et esthétique*. Odznaczają się bardzo znacznem bogactwem i oryginalnością poglądów.

---

stopniowo działają na czułe serce literata. Wtedy, gdy tylko spostrzeże, że go sobie zjednała, stara się go odosobnić, zerwać nici wiążące go gdzieindziej i przyzwyczaić do przestawania z nią i jej otoczeniem. Aby go lepiej w domu zaaklimatyzować, otacza go ogromną czcią, uwydatnia i przygotowywa mu na każdym kroku powodzenie.

On zaś, czując się bożyszczem, pozostaje w świątyni. Bardzo mu zresztą z tem dobrze, bo inne kobiety, pragnąc wydrzeć skarb przyjaciołce, otaczają go najdelikatniejszymi względami. Jeśli jest zręczny, oprze się tym zalotom, bo im większą okaże wierność, tem stanie się pożądańszym. Straciłby połowę swej wartości, gdyby był łatwym do zdobycia.

Wkrótce zaczyna tworzyć środkowy punkt literacki, świątynię, w której jest bogiem, jedynym bogiem, bo prawdziwe religie nigdy nie mają wielu bóstw. Będą się schodzić do domu, aby go słyszeć, widzieć, podziwiać, jak się schodzą z dalekich stron do świętego przybytku. Będą jej i jemu zazdrościć. Będą mówić o literaturze, jak kapłani o dogmatach, z powagą i namaszczeniem a wyjdą z tego salonu literackiego z takiem uczuciem, jak gdyby wyszli z katedry.

Inne znakomitości są także poszukiwane, ale w stopniu nierównie mniejszym. Naprzykład generałowie, lekceważeni przez wykwintniejsze towarzystwo, gdzie ich zaledwie nad deputowanymi wyżej stawiają, bywają jeszcze cenieni przez drobniejsze mieszczaństwo. Deputowany jest pożądanym tylko w chwilach stanowczych; trzyma się go w odwodzie, zapraszając od czasu do czasu na obiad. Uczony ma także swoich stronników, boć rozmaite gusty spotyka się na świecie, a nawet naczelnik biura jest bardzo ceniony przez ludzi mieszkających na szóstem piętrze; tacy wszakże nie bywają w Cannes, gdzie zaledwie mieszczaństwo ma kilku skromnych przedstawicieli.

Około południa zbiera się całe towarzystwo na Kroazecie.

Jest to długie półkole, ciągnące się nad morzem aż do portu.

Kobiety młode i smukłe — szczupłość należy do dobrego tonu — ubrane z angielska, przechadzają się szybko, w towarzystwie rzeźwych, zwinnych młodzieńców. Co chwila jednak spotkać można biedne, wychudłe istoty, idące chwiejnym krokiem, a oparte na ramieniu matki, brata lub siostry. Otulone, mimo upału, szalami, kaszlą i ciężko oddychają, spoglądając na przechodniów z zawiścią i rozpaczą.

Cierpią, umierają, bo ta ciepła i zachwycająca kraina jest także szpitalem wielkiego świata i kwietnym cmentarzem Europy arystokratycznej.

Straszna choroba, która nie przebacza nigdy, nazwana dziś gruźlicą, choroba, która podkopuje, niszczy i spopiela tysiące ludzi, obrała sobie ten kącik świata, aby tam dokonywać swe ofiary.

Jak muszą ze wszystkich stron świata przeklinać ten uroczy i wonny przedsionek śmierci, gdzie tyle rodzin królewskich, książęcych i mieszczańskich pozostawiło istoty ukochane, w których spoczywały wszystkie nadzieje ich życia!

Przypominam sobie Mentonę, najcieplejszą i najzdrowszą z miast zimowych. Tak jak w okolicach grodów wojennych wznoszą się twierdze, tak w tej stacyi konających dostrzega się cmentarz na szczycie pobliskiego wzgórza.

W tem siedlisku umarłych, jakby dobrze było żywym! Róże, róże, wszędzie róże: purpurowe, blade, białe lub krwisto prążkowane. Groby, aleje, miejsca próżne dziś, jutro zajęte, wszystko nimi pokryte. Ich woń silna odurza i sprawia zawrót głowy.

A wszyscy spoczywający tam mieli lat szesnaście, osiemnaście, dwadzieścia. Istny cmentarz dzieci, podobny do tych wieczorów dziewiczych, na które nie zapraszają ludzi żonatych.

Cały zresztą ten brzeg morski to siedlisko śmierci, ale jest ona tam wstydliwą, zasłonięta, pełną taktu, dobrze wychowaną. Nigdy się z nią nie spotykasz oko w oko, chociaż na każdym kroku czujesz jej oddech.

Możnaby nawet sądzić, że w tym kraju nie umierają, tak się wszystko sprzysięga na okłamywanie ludzi tam, gdzie sobie upodobała ta wszechwładna pani. Ale jak ją czujesz, jak nieraz dostrzegasz rąbek

wrażliwością na najrozmaitsze pobudki zewnętrzne; niezwykłą odpornością względem wpływów niesprzyjających otoczenia; z szybką i energiczną działalnością nerwową w postaci urywkowej. Różne strony umysłowości jak gdyby posiadały tu znaczną wzajemną samodzielność. Wszystko skłania do wniosku, iż odżywianie nerwowe musi odbywać się energiczniej i prędzej, aniżeli w grupie Fresnelowskiej. Tymczasem w tej ostatniej należy zauważyć, że każde z wrażeń odznacza się tu pewną długością i trudnością ustąpienia miejsca jakiemuś innemu, oraz iż jednostki tego rodzaju umierają wcześnie i chorują na długotrwałe cierpienia chroniczne, osłabiające organizm w sposób postępowy. Wiadomo znowu z innej strony, że „przygniecione" stany duchowe idą w parze z takimi objawami, jak twardość i sklerotyzm mózgu, obrażenia śledziony itd. Przy badaniu trupów melancholików Luys notuje głębokie zwyrodnienia komórek nerwowych z wyglądem krystaliczno-szklanym; nadto można spostrzedz zmiany wielkie i widoczne w sercu, nerkach, wątrobie, śledzionie, żyłach i innych organach i tkankach. Czyżby z tych chorób, stanowiących własność typu jednostronnego, nie można otrzymać jakichś wskazówek co do jego podścieliska nerwowego i fizyologicznego? Czy nie należałoby przypuścić, iż odżywianie komórek odbywa się wśród tej grupy wolniej, aniżeli u poprzednio rozpatrywanej i że wskutek tego nagromadzają się substancye zbyteczne, wywołujące choroby chroniczne i przytoczone objawy? Na pytanie to, bardzo prawdopodobne, odpowiedzi ostatecznej udzielić zdołają jedynie bliższe poszukiwania histologiczne. Cokolwiekbądź jednak, można już obecnie śmiało powiedzieć, iż różnice w produkcyi umysłowej, występujące pomiędzy dwoma wymienionymi powyżej typami, nie są zgoła dziełem przypadku, lecz tkwią głęboko w organizmie. Prawdopodobnie tkanki obu kategoryj wyróżniają się odmienną wrażliwością na podniety chemiczne, niejednakowemi własnościami naczyń włoskowatych mózgu i różną szybkością w obiegu krwi itd.

Być może, że i trzecia grupa działalności umysłowej — filozoficzna — odznacza się także szczególnemi znamionami organicznemi. Twórczość filozoficzna polega na skłonności do porządkowania i szeregowania w zwarte a złożone i zorganizowane jedności, mnóstwa pojęć różnorodnych i samoistnych. Nie natura badanych przedmiotów, jak w poprzednio rozpatrywanych typach, lecz szczególny sposób łączenia i ustawienia cechuje filozofa. Zauważamy tu następujące rysy duchowe: mniej lub więcej obszerny encyklopedyzm co do materyału; niezwykłą łączność oraz ześrodkowanie tego ostatniego w całości dyscyplinarne, zbudowane według subjektywnych bodźców; zupełne starcie cech indywidualnych z użytego materyału i to w stopniu znacznym, tak iż filozofia a wiedza stają do siebie w podobnym stosunku, jak kontury ołówkiem do malowanego obrazu. Zresztą już bardzo wcześnie spostrzegamy zmniejszenie zdolności, w porównaniu z myśleniem, do przyswajania nowych faktów i wogóle ustanie wszelkiej działalności postępowej. Dochodzi do tego, iż niektórzy filozofowie przestają interesować się nawet badaniami, do których pobudki dostarczyły własne ich prace. Często wszystkie siły skierowane zostają ku propagandzie literackiej już wypracowanych w młodości systematów. Zwykle ukazują się objawy „przygniecenia" nerwowego i dowody stanu newropatycznego, odznaczającego się niezwykle silną wrażliwością. Wszystko to wskazuje, iż i w wypadku grupy filozoficznej mamy sprawę ze szczególnemi właściwościami, głęboko organicznemi.

Rozpatrzyliśmy, na podstawie badań Wjeszniakowa, trzy wybitne i krańcowe odmiany produkcyi umysłowej, sprzężone każda z mnóstwem odrębnych cech fizyologicznych i patologicznych. Lecz oczywista, iż analiza twórczości umysłowej nie może się ograniczać tylko do tych przypadków. Przedewszystkiem należałoby jeszcze przy tym rozbiorze uwzględnić wpływ czynników czuciowych: bogactwa wrażeń dźwiękowych, wzrocznych i innych. Wśród świata uczonych istnieją grupy, zupełnie ogołocone z tego rodzaju podniet — umysły logiczne i algebraiczne (np. wspominani już matematycy); już inne, z rozwojem znacznym wrażliwości zmysłowej, chwytającej bądź odrębne ciała, lecz bez stracenia z oczu całości (Darwin), bądź najdrobniejsze szczegóły, bez troszczenia się o całość (Cieńkowski). Wreszcie, idąc w kierunku rozwoju wrażliwości chociażby optycznej, z wykluczeniem pierwiastków myślowych, dochodzimy do takiego Correggia. Gdyby przeprowadzić badania porównawcze nad mózgami algebraistów i logików a malarzy, rzeźbiarzy, spostrzegaczy, prawdopodobnie znalezionoby jakieś różnice w wzajemnym stosunku różnych części jego, jak to pozwalają przypuszczać poszukiwania Maynerta. Podobnież wypadałoby jeszcze uwzględnić rozmieszczenie i bogactwo emocyonalne, stwarzające umysły nowatorskie, to rozpraszające jednolitość idei (romantyzm), to znowu ją ześrodkujące (epoka sztuki gotyckiej) itd. itd.

Różne te połączenia umysłowości, uczuciowości lub emocyonalności są wynikiem warunków organicznych, których istnienie obecna fizyologia psychologiczna podejrzywa z całą słusznością, lecz nie zdołała ani zbadać, ani tem bardziej określić. Antropologia wiedzy i sztuki należy do przyszłości. Jak Marro i inni są na drodze ku wyznaczeniu różnych właściwości gwałciciela-ludożercy, mordercy, złodzieja z instynktu, podobnież kiedyś ujrzymy takie próby w kierunku scharakteryzowania typów naukowych i artystycznych. Tylko wtedy znajdziemy klucz do zrozumienia owych zjawisk psychologii życia zbiorowego, jak ukazywanie się masowe całych falang bądź umysłów matematycznych, bądź jakichś innych. W epoce przełomowej wieków XV—XVII mamy do czynienia z typami wielostronnymi: Leonard de Vinci, Bakon, Kartezyusz. W końcu XVI w. w Włoszech i XVIII w całej Europie widzimy zmniejszenie się uzdolnień optyczno-zmysłowych i spotęgowanie analityczno-matematycznych. Jedni rozszerzają i doskonalą matematykę; inni, według dedukcyjnych szematów, z wyrugowaniem tradycyi historycznej, usiłują przekształcić stosunki społeczne. Wreszcie, w dalszym ciągu pozostaje jeszcze jedno zadanie: wyszukanie związku pomiędzy organicznymi typami, właściwymi każdej szczególnej produkcyi umysłowej lub artystycznej, a rasowo-antropologicznymi. Badania we Francyi dowiodły, że różne uzdolnienia przeważnie wychodzą z pośród odrębnych ras antropologicznych. W tym razie rasa byłaby swego rodzaju roczynem, wyłaniającym z siebie odpowiednie jakościowo i ilościowo kryształy. Z jednej strony mamy tak artystyczne grupy, jak papuowie lub monbuci, z drugiej zupełnie pozbawione uzdolnienia plastycznego, lecz bogate pierwiastkami lirycznymi— np. semitów, lub ogromnych popędów praktycznych bez śladu wyobraźni i artyzmu —

---

jej czarnej szaty! Istotnie, trzeba wiele róż i wiele kwiatu cytrynowego, ażeby nas czasem nie zaleciała straszliwa woń, wydzielająca się ze zwłok zmarłych.

Nigdy trumny na ulicy, nigdy chorągwi żałobnej, nigdy dzwonów pogrzebowych. Wynędzniały przechodzień, widziany wczoraj jeszcze, nie pokazał się dziś pod twemi oknami i na tem koniec.

Jeżeli okażesz zdziwienie, że go nie widzisz i dopytujesz się o niego, właściciel hotelu i cała służba odpowie ci, że jest daleko zdrowszy i za radą doktora wyjechał do Włoch. W każdym bowiem hotelu śmierć ma swoje schody tajemne i swoich powierników.

Moralista dawniejszy byłby wiele pięknych rzeczy powiedział o przeciwieństwach wogóle i o stykaniu się tej elegancyi z tą nędzą życia.

Południe, miejsce przechadzki opróżnione, wracam na statek, a po spożyciu śniadaniu czytam dzień cały. Jednostajny ruch statku uśpił mię na czas jakiś. Obudziłem się, gdy wniesiono światło wraz z obiadem. Po skromnym posiłku wyszedłem na pokład.

Wokoło mnie Cannes jaśniało światłem. Nic piękniejszego, jak z morza widok oświetlonego miasta. Na lewo stara dzielnica, której domy piętrzą się jeden nad drugim, a światełka zdają się gwiazd dotykać; na prawo latarnie gazowe Kroazety wiją się jak wąż olbrzymi na odległość dwóch kilometrów.

Siedząc, myślałem sobie, że we wszystkich tych willach i hotelach ludzie zebrali się dziś wieczór, tak jak zebrali się wczoraj, jak zbiorą się jutro i rozmawiają. Rozmawiają! o czem? O książętach, o pogodzie!.. A potem?.. O pogodzie!.. o książętach!.. A potem?.. O niczem!

Czy jest co okropniejszego nad rozmowę przy ogólnym stole hotelowym? Przemieszkiwałem długo w hotelach, miałem więc sposobność podpatrzeć duszę ludzką w całej jej płaskości. Trzeba istotnie posiadać najwyższy stopień obojętności, ażeby nie płakać ze smutku, niesmaku i wstydu, kiedy się słyszy człowieka rozmawiającego. Człowiek zwykły, bogaty, znany, szanowany, poważny, ceniony, zadowolony z siebie, nic nie umie, nic nie rozumie, a rozprawia o inteligencyi z rozpaczliwą pychą.

Trzeba być rzeczywiście ślepym i nadętym bezmyślną zarozumiałością, ażeby się czuć czem innem, niż najzwyczajniejszym głupcem. Słuchacie ich, zebranych wokoło stołu. Rozmawiają! Rozmawiają słodko, szczerze, w prostocie ducha i nazywają to wymianą myśli. Jakich myśli? Mówią, gdzie byli na spacerze: „droga bardzo ładna, ale z powrotem było cokolwiek chłodno"; „kuchnia niezła w hotelu, jakkolwiek restauracyjne jedzenie nigdy nie jest tak zdrowe, jak w domu." I opowiadają, co robili, co lubią, w co wierzą!

Zdaje mi się, że widzę całą nicość ich ducha, jak się widzi w słoju spirytusu płód potworny. Jestem obecny powolnemu wykluwaniu się pospolitości, jakie codzień powtarzają, czuję wyrazy wydobywające się z tej siedziby głupstwa, dostające się do ust cielęcych, następnie wysuwające się z ust na powietrze, które je przenosi do moich uszu.

Ale ich myśli, najszczytniejsze, najwznioślejsze, czyż nie są niezbitym dowodem powszechnego, wiecznie trwałego, wszechwładnego głupstwa?

Wszystkie ich pojęcia o Bogu, o Bogu, który tak niezdarnie tworzy i przetwarza pierwsze istoty, który słucha naszych zwierzeń i zapisuje je sobie, o Bogu żandarmie, jezuicie, adwokacie, ogrodniku, w pancerzu, todze lub łapciach, potem znów zaprzeczanie Boga, oparte na ziemskiej logice, dowodzenia za i przeciw, dzieje różnorodnych religij, odszczepienia, herezye, filozofie, twierdzenia i przeczenia, cała czczość zasad, gwałtowność dzika i zajadła twórców hypotez, chaotyczność sporów, pasowanie się tej nieszczęsnej istoty niezdolnej tworzyć, odgadnąć, wiedzieć, a tak skłonnej uwierzyć, przekonywa, że na świat została rzucona tak maluczką, jedynie aby jeść, pić, rodzić, śpiewać piosnki i dla rozrywki zabijać się wzajemnie.

(D. c. n.).

chińczyków. Naturalnem jest, iż wzajemny stosunek wyłonionych talentów artystycznych i umysłowych musi być różnym w każdym tym rozczynie rasowym.

Lud. Krz.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Michał Federowski: *Lud okolic Żarek, Siewierza i Pilicy* — tom I. — Ludwik Niemojewski: *Owoc zakazany*, komedya w 1 akcie (wierszem). Warszawa, 1889.

Przedmiotem badań etnograficznych p. Michała Federowskiego jest malownicza, południowo-zachodnia okolica Królestwa, zroszona wodami Pilicy, Czarnej Przemszy i górnej Warty. Jaką będzie całość, nie wiemy. Pierwszy tom dość obfite zapowiada żniwo. Rozpada się on na cztery główne działy: 1) „wiadomości topograficzno-etnograficzne,“ 2) „obrzędy,“ 3) „zwyczaje doroczne,“ 4) „dumy i pieśni.“ W pierwszej części rzuca autor przelotne spojrzenie na ustroń wybraną; mówi dalej o chatach, sprzętach, ubiorze włościanina, określa wreszcie ogólnikowo jego wartość fizyczną, umysłową i moralną. Druga część, najbardziej ze wszystkich interesująca, przedstawia kmiecia z nad granicy szlązkiej, jako uczestnika chrzcin, zaślubin i pogrzebów; trzecia — wyświetla sferę dorocznych obchodów, jużto ściśle religijnych, jużto gospodarskich (takich, jak gody, wstępna środa, wielki post, wielkanoc, sianosprzęt itd.); czwarta — zbliża nas do głębi duchowych tajemnic rolnika, do jego poglądów i uczuć rodzinno-społecznych. Książka p. Federowskiego nie może służyć za wzór dokładności i systematycznego uporządkowania szczegółów. Autor nie określił należycie pod względem geograficznym wybranej okolicy (wyliczył on tylko miasteczka, pomijając wioski), a co gorsza — nie powiedział jasno, dlaczego zamyka się w obrębie danego terytoryum. Jeśli w pewnym stopniu przewodniczyła tu badaczowi chęć przypuszczalnego odgadnienia barwy etnograficznej Szlązka z epoki, poprzedzającej spełniony fakt germanizacyi (patrz dopisek na str. 2), to należało uwzględnić historyę. Kilkowierszowa wzmianka w odsyłaczu o księstwie siewierskiem nie wytrzymuje krytyki. Nabył je wprawdzie Zbigniew Oleśnicki w r. 1443, ale „do korony“ nie „włączył“ — długo ono jeszcze z wyjątkowych korzystało przywilejów, i dopiero uszczuplone w swych granicach, w kilkanaście lat po pierwszym rozbiorze, na zasadzie uchwały sejmu czteroletniego (1790) stało się własnością Rzeczypospolitej. „Z tego wynika (mówi dalej autor), że jakim jest dziś lud z okolic Żarek, Siewierza i Pilicy, takimiż byli niegdyś szlązacy, zanim, pod wpływem zabijającej germanizacyi, nie skazili prastarych zwyczajów i mowy ojczystej.“ Nie lekceważmy długiego szeregu chwil i stanów, dzielących „dziś“ od „niegdyś:“ lud jest konserwatystą, ale wieki — czasem nawet dziesięciolecia — wyciskają na nim swe piętno... I włościanin z pod Siewierza nie jest już pewno tem, czem był przed 25 laty. Kolej, jaką sobie p. F. wytknął i podziały, jakie zaprowadza, nie zawsze się opierają na podstawie logicznej. W pierwszej np. części tak są uporządkowane kategorye: „chata“ — „ubiór“ — *zatrudnienia* — *pożywienie* — „wiara i uszanowanie (sic!).“ Łatwo zrozumieć, że czwarty punkt— trzecie powinien zajmować miejsce. Gorszą daleko jest klasyfikacya pieśni. Oto ramy tego szeregu: „miłość“ — „sieroctwo“ — „wojna“ — „kołyska“ — „pijatyka“ — „oraczka“—„*kolędy*“ — „*dniówki*.“ Dlaczego autor splątał w podziale dwie zasady (*przedmiotu* pieśni i zewnętrznej ich *formy*, która zresztą tak małą w utworach ludowych odgrywa rolę) i czemu „kołyskę“ między „wojną“ a „pijatyką“ umieścił, trudno odgadnąć. Wypada przytem zaznaczyć, że piosenki nietylko we właściwej, czwartej części, ale i w innych szerokie znajdują uwzględnienie. Godne są one rozbioru etnografa, socyologa i lingwisty... Powstrzymam się wszakże z uwagami nad ich zawartością aż do chwili, kiedy sam autor, w tomie drugim, własne na nich zbuduje wnioski. Tymczasem tylko nawiasowo zanotuję, że p. F. nie odczuwa należycie *a* pochylonego, które, o ile mogłem sprawdzić, włościanie z owych okolic dość czysto wymawiają; pisze bowiem: „*poni* matka, z ponem ojcem;“ albo gdzieindziej, bez względu na rym: „Ładnyś, Jasiu, ładny, kieby karafioł; słaby ja za ciebie, zebyś mie nie bijał.“ W drugim tomie pożytecznej pracy radzibyśmy znaleźć: 1) ściślejsze pod względem geograficznym opisanie danego terytoryum; 2) nowy zasób materyału, pod postacią klechd, przysłowi, zagadek, utartych poglądów na świat i ludzi; 3) statystykę ekonomiczną, umysłową i moralną; 4) uwagi nad gwarą miejscową; 5) słowniczek; 6) mapkę.

Od lat trzydziestu z górą znany, uprawiacz sztuki rymotwórczej, p. Ludwik Niemojewski, obdarzył niewybrednych zwolenników Talii „drobną pracą, odpowiednią (jak sam utrzymuje) do przedstawień amatorskich.“ Czyż mam odtwarzać jej osnowę? Ha! „niech się dzieje wola nieba...“ Muzo Fredrowska, ty, coś mi teraz do ucha szepnęła pobożne westchnienie, a czcicielowi swojemu pozwoliła w późnej jesieni spłodzić *Owoc zakazany*, prowadź po ciernistej ścieżce... Janina była panną na wydaniu, Henryk przystojnym młodzieńcem. Oboje "dobrze urodzeni,“ a pełni zalet, znali się oddawna i szczerze lubili. W pierwszej scenie *on* błaga o wzajemność, *ona*, pomimo „wzruszenia,“ ciepłą trzeźwi go wodą:

„. . . . . Niby we śnie,
Krocząc ścieżką żywota, doszliśmy zbyt wcześnie
Do stanu, co przyjaznym bogacąc zasobem
Bratnich uczuć zawiązek, jest miłości grobem.“

Dzisiejszy młodzian poddałby rozbiorowi ten kłębek sofizmatyczny; ale amant starej daty, jakim jest Henryk, przyjmuje go czułem sercem i wchodzi na drogę rozpaczy. Bądźmy o niego spokojni: najpoważniejsi nawet bohaterowie komedyi nie giną na scenie. W chwili krytycznej zjawia się na pomoc, wtedy właśnie, gdy o nim wspominano, p. Bojomir Rembosz, stryj zakochanego. Przyjechał on, zaproszony przez Henryka, na wesele jedynego synowca. Jak młodzieniec przy zdrowych zmysłach mógł do Warszawy pod takim pozorem ściągnąć swego opiekuna, nie będąc nawet pewnym wzajemności panny, sam Salomon nie odgadnie. Dość, że fakt się spełnił, a czytelnik, poznawszy w scenie IV-ej energicznego jegomości, już jest spokojny o los Beniaminka. Rzecz dzieje się od początku do końca w domu Marka Zięby, ojca Janiny. Poczciwy to człowiek, dobry szlachcic; ale... biblioman i archeolog. On sam węzła intrygi nigdyby nie rozwikłał. Co innego Rembosz, weteran z pod Samosierra... Wziął on sprawę do serca: dowiedziawszy się, że rywalem bratanka jest niejaki Letkiewicz (którego nazwisko odpowiadało, naturalnie, charakterowi), wyrywa strojnisia przemocą z objęć balwierza, stawia na gruncie, znagla do oświadczyn, ośmiesza przed panną, a o Henryku rozpuszcza niepokojące wieści. Niebawem lekki podmuch rozsuwa chmury i ukazuje się—pięknie ze złotego papieru wystrzyżone, słońce. *Deus ex machina*, Bojomir pieczętuje komedyę zastosowanem do nagłówka spostrzeżeniem:

„. . . . Gdy panna pod nosem
Ma chłopca, to na niego spogląda ukosem,
Przeszkody dopiero budzą żar nieznany.
Więc dla kobiet najmilszy... owoc zakazany.“

Najnowsza komedya p. Ludwika Niemojewskiego, podobna do wielu innych, zaszłych już pod poziom obserwatora, a będąca jak się zdaje, zasuszonym z czasów porannej młodości kwiatkiem, żadnej szczególnej, artystycznej ani myślicielskiej nie przedstawia zalety; ale jako wyrób gładki, łatwy, pod względem moralnym przyzwoity, a dość efektownym opatrzony tytułem, na prowincyonalnych scenach amatorskich może współubiegać się o palmę pierwszeństwa z innemi tego samego wzoru nasladowaniami.

A. G. B.

WALKA O BYT W LITERATURZE.

Mnożą się coraz liczniejsze oznaki, świadczące, że dziennikarstwo niemieckie jest ciałem przegniłem.

Przed laty kilkunastu obwieścił to światu profesor lipskiego uniwersytetu, Wuttke. W dziele *Die deutschen Zeitschriften*, opartem na dowodach, dokładnie opisał straszliwą chorobę, która zaraziła tę ważną gałąź życia społecznego. Znalazł on później naśladowców. Pracę jednego z nich, odzwierciedlającą stosunki dziennikarskie w Wiedniu, poznali niedawno nasi czytelnicy.

Obecnie do szeregu staje nowy, również im znany zapaśnik—Karol Bleibtreu, autor bardzo poważnych i ładnych szkiców z literatury angielskiej, nowelista, poeta, powieściopisarz, a nawet dramaturg; słowem, pióro niesłychanie płodne, dość wytworne, cięte i ostre, a nadewszystko wsparte nauką. Również trzeba zaznaczyć, że posiada on umysł bardzo śmiały i otwarty dla nowoczesnych i wolnomyślnych prądów. Nie lubi nadto chodzić utartemi ścieżkami, lecz przeciwnie wycina dla siebie nowe drogi mimo wszelkie stawiane mu przeszkody. Dowód tego dał w książce p. n. *Revolution der Literatur*. Ona to zwróciła na niego oczy rodaków i obcych: rozgłos jej zaś tak był wielkim, że niemal wszystkie pisma polskie podały jej treść i ocenę.

Wprawdzie nieprzyjaciele autora, a liczy on ich na tysiące, twierdzą, że owa *Revolution* jest poprostu reklamą dla niego i jego przyjaciół. Podług nich Bleibtreu jest zazdrośnikiem miernych zdolności, który po trupach wyszydzonych przez siebie pisarzy chce wejść "do grodu sławy.“

Mają oni słuszność, lecz tylko w części. Bleibtreu jest wielce zarozumiałym, a przytem mściwym, za każde więc ostre słowo odda z nawiązką, jak o tem świadczy następujący fakt. Przed tygodniem dzienniki berlińskie doniosły, że skazanym on został na miesiąc więzienia za oszczerstwo; powieść zaś jego p. n. *Grössenwahn* sąd polecił zniszczyć. Oszczerstwo owo polega na tem, że sportretował wielu żyjących literatów berlińskich. Nie były to właściwie portrety, lecz karykatury, którym poprzypisywano najrozmaitsze ohydne czyny. Aby zaś czytelnik wiedział, z kim ma do czynienia, prawdziwe nazwiska zmieniono na powieściowe przez dodanie czy odjęcie jednej, początkowej lub końcowej litery. Niejaki Otto Leixner, najbardziej dotknięty tem, bądź co bądź, niegodnem postępowaniem wniósł skargę do sądu.

Właśnie na kilka tygodni przed tym procesem wydał Bleibtreu broszurę literacką p. n. *Der Kampf um's Dasein der Literatur*. Pod tą szumną nazwą kryje się zajadła obrona autora przeciw wszystkim swym nieprzyjaciołom. Jasno i wyraźnie występują tutaj i wady i przymioty tego niezaprzeczenie zdolnego pisarza: jego werwa i wykształcenie, jego zarozumiałość i mściwość. Stąd też wszelkie jego twierdzenia

należy czytać bardzo uważnie i bardzo chłodno zarazem.

Przedewszystkiem zaznacza, że sprawiedliwej krytyki literackiej już niema w Niemczech. Pisujący oceny literackie powodują się tysiącami różnych względów: pieniężnymi (są tacy, którzy autorom lub wydawcom każą płacić za przychylne wzmianki), osobistymi, stronniczymi, społecznymi, rasowymi, wyznaniowymi itd. Potworzyły się mianowicie między dziennikarzami t. zw. kliki, których członkowie chwalą swoich, obcych zaś, po za obrębem koła stojących, albo ganią, albo też zabijają niemiłosiernem i bezwzględnem milczeniem. Przysłowie: „ręka rękę myje, noga nogę wspiera" znajduje tutaj bardzo ścisłe zastosowanie. Dzieje się znowu i tak, że dla dziennika zachowawczego nie istnieją na świecie pisarze wolnomyślni i odwrotnie; gazeta antysemicka cierpi na krótki wzrok, wiele razy dostanie do oceny powieść, napisaną przez żyda. Żydowska zaś prasa, a ta obecnie stoi w Niemczech na szczerozłotych i silnych nogach, tępi wszystkich, od których choć cokolwiek zaleci woń judofobii.

Doszło podług Bleibtreua w Niemczech do tego, że nawet „początkujący reporter, stale pisujący do jakiegoś dzienniczka, znaczy więcej, aniżeli uzdolniony literat." „Nie pomoże ci nic a nic puszczać w świat jedno dobre i mozolnie napisane dzieło po drugiem. Bo i po co? Czy dlatego, by mała garść wybranych lubowników literatury spędziła kilka przyjemnych chwil i mogła robić spostrzeżenia, jak u nas umieją szanować prawdziwe zasługi? Jesteś wytwornym poetą lirycznym, bądź zadowolonym, jeżeli znajdziesz nakładcę na papier i druk— czytelników z pewnością mieć nie będziesz; tylko szablon i nicość cieszą się pokupem. Jesteś nowelistą lub powieściopisarzem, nie ślepym wobec wszystkich objawów życia, to żaden *Przegląd* lub tygodnik literacki, przeznaczony dla rodzin, nie przyjmie twych utworów. Wypożyczalnie książek przecież zawsze gorąco polecają swym czytelnikom bazgraniny banalne. Piszesz dramaty o nowoczesnym zakroju, nie wystawi ich żadna scena. Lecz co to za rozkosz być redaktorem jakiegokolwiek dzienniczka! Francuz lub anglik zadrżeliby z oburzenia, widząc honoraryum, jakie otrzymuje dobry poeta niemiecki za tom swych poezyj. A przecież najnędzniejszy dziennikarz zarabia 3,000 marek rocznie, redaktorzy zaś dochodzą do pensyi 30,000 marek i nie zmęczą się bynajmniej pracą."

„Z tego jasno wynika, że w Niemczech, jak nigdzie może, dziennikarstwo zabiło literaturę książkową, zawsze trwalszą, cenniejszą, bardziej podniosłą i bardziej artystyczną."

Gorycz, zniechęcenie bije z końcowych słów książki, nacechowanych niewątpliwą prawdą. „Niemiecki poeta zaiste jest najnieszczęśliwszem stworzeniem pod słońcem. I dlatego to od młodości poświęciłem się literaturze, dlatego targałem nerwy, walczyłem z głupotą ludzką, z żelazną wytrwałością kształciłem się ustawicznie i ciągle, wyrobiłem sobie uznanie obojętnych, zmusiłem do milczenia niechętnych i wprost nieprzyjaznych, by w końcu spytać: „Po co to wszystko? Jakąż otrzymałeś nagrodę? Czemże ty właściwie jesteś jako „poeta" w dzisiejszej hierarchii społecznej? Czy przez to zdobyłeś sobie jaki tytuł, czy jesteś radcą, profesorem, lub czemś podobnem? Bynajmniej. Czemże więc jesteś w „towarzystwie?" Niemal niczem, bo takim panem, który tylko książki pisze.

Zarabiasz przynajmniej i to sporo twemi książkami, które chciwie czytają nasze kobiety? Jak, co? Piszesz z talentem? Chcesz, jak Szekspir malować ludzkie namiętności, chcesz sądzić ludzkość, jak Dante? Czy się nie wstydzisz? To nie na dzisiejsze czasy! Jesteś półgłówkiem lub wrogiem społeczeństwa! „To marzyciel, zostawcie go w spokoju."

Na każdem innem polu istnieje prawidło, że najlepszy robotnik najhojniej jest wynagradzanym. W literaturze niemieckiej dzieje się wprost przeciwnie; im gorszą i podlejszą jest robota, tem dla publiczności i wydawców cenniejszą i droższą. Fabrykacya nędznych romansów jest jeszcze najlepszym interesem!"

Słowa te i do innej jeszcze literatury dałyby się zastosować.

Dalej znajdujemy znowu ustęp, godny dosłownego przytoczenia:

„Zresztą i nakładcy i publiczność nie podźwigną literatury z upadku. Bo, choć nawet pięćset do dwóch tysięcy osób (na 60 milionów niemców) kupi istotnie dobrą książkę, to z owego dochodu ani literat, ani nakładca nie wyżyją. A każde poboczne zajęcie niszczy niemal zawsze wyobraźnię i zdolność twórczą. Naród niemiecki powinien rumienić się, gdy przypomnimy sobie położenie materyalne pisarzy francuskich i angielskich, jeszcze przed dwustu laty. A cóż dopiero dzisiaj! Zresztą jeżeli wówczas sprzedaż książek nie była tak rozgałęzioną, jak dzisiaj, i nie mogła zaspokoić potrzeb drugorzędnego literata, to przychodziła mu z pomocą szlachta angielska lub francuska, ta poniewierana i deptana szlachta *de l'ancien régime.*

Niemcy nigdy nie miały takiej szlachty, chociaż na Szlązku, w Westfalii, nad Renem i w Austryi jeszcze dzisiaj, przy końcu XIX wieku ciągną się niezmierne posiadłości niemal feudalnej magnateryi. Ta sama szlachta, zwyrodniała, posiada dosyć błękitnej krwi, by łączyć się z pieniężdzmi mieszczaństwa. I nie zdaje się rzeczą upokarzającą dla tych pyszałków obrać taki zwyczajny zawód, jak gorzelnictwo lub handel zbożem. O nie! To przystoi możnowładcy niemieckiemu. Lecz dbać tak, jak angielski lub francuski magnat, o swe duchowe szlachectwo i podnieść umysłowy poziom własnego społeczeństwa, to nie wypada. Zresztą niemal wszyscy ci panowie, utrzymujący konie wyścigowe i kochanki, jako rzecz siebie godną, są fałszywą szlachtą z fałszywymi rodowodami, gdyż prawdziwa, stara, niemiecka szlachta wyginęła już w wojnie trzydziestoletniej."

Taką skargą zamyka Bleibtreu swą broszurę, mieszaninę zdrowych poglądów z wybuchami obrażonej dumy.

A. Witski.

LITERATURA FRANCUSKA.

Paryż, 10 listopada.

Alfons Daudet, *l'Immortel*, Paryż, 1888. — Emil Zola, *Le Rêve*, Paryż, 1888. — Guy de Maupassant, *Sur l'Eau*, Paryż, 1888.

Wypisaliśmy w nagłówku trzy ostatnie powieści trzech mistrzów spółczesnej literatury francuskiej.

Daudet w *Nieśmiertelnym* odtwarza nam Akademię francuską na tle obyczajów paryskich. Obraz wcale niepochlebny zarówno dla Instytutu, jak i otaczającego go towarzystwa. Nie posądzamy atoli autora o umyślne zabarwianie swego szkła na czarno. Daudet jest realistą, podpatrzył więc dokładnie tylko to, co mu dało życie. W sferze zaś, którą odmalował, znaleźć nie mógł wzorów zbyt pociągających. W galeryi zresztą typów, jakie przesuwają się przed naszemi oczami, znajdujemy Vedrine'a, rzeźbiarza, człowieka niezależnego w zdaniu i charakterze, który okiem autora patrzy na nędzę i nicość akademicką.

Główną postacią powieści jest „nieśmiertelny" Astier-Rehu, chłopski syn owerniacki z pochodzenia, profesor, historyk sławnego domu Orleańskiego, roztaczającego swą wysoką opiekę nad przybytkiem dworsko-konwencyonalnej literatury i nauki, dożywotni zresztą sekretarz Akademii. Astier-Rehu za ideał życia i dążeń obrał sobie wejście do akademickiego grona czterdziestu nieśmiertelnych. W tym celu dla studyów swych historycznych wybierał tematy, mogące schlebiać wysokim protektorom i w tych widokach także ożenił się z córką akademika.

Autor zapoznaje nas z całą nędzą tego stadła. Astier-Rehu już jako akademik został bibliotekarzem przy archiwum ministerstwa spraw zagranicznych, tam prowadził dalej swe prace historyczne, pozwolił jednak dość nieoględnie wyrazić się w jednem zdaniu o panowaniu Ludwika Filipa, utracił więc zaraz łaski, a co ważniejsza — pensyę i mieszkanie przywiązane do urzędu. Państwo Astier muszą tedy poprzestać na skromnem mieszkaniu, oczekując niecierpliwie spodziewanej śmierci sekretarza Akademii, do godności tej bowiem przywiązane jest także mieszkanie. Ona jest kobietą młodą jeszcze, powabną i światową, zajętą akademickiemi intryżkami i swym jedynakiem, któremu stara się wyrobić odpowiednie stanowisko. Paweł Astier jest architektem, poszukującym korzystnych zamówień i bogatego ożenku. Młody, elegancki karyerowicz jest na najlepszej drodze, szczególniej że mama z całą miłością wspiera go w tych zamiarach. Stara on się o pozyskanie serca i ręki pięknej wdówki, księżnej Colette de Rosen, z którą wszedł w bliższe stosunki, pracując nad nagrobkiem jej męża. Plany te rozbija kochająca matka, swata bowiem księżnę pewnemu księciu dyplomacie, za co ma otrzymać znaczne wynagrodzenie pieniężne. Coletta wymyka się z rąk panu budowniczemu, zostaje jednak inna wdówka, bogata również księżna Padovani, która żyła długie lata w nieślubnym związku z owym dyplomatą, obecnie zaś wchodzi w powtórne wdowieństwo. Młody Astier żeni się więc z nią, kupiwszy sobie tytuł hrabiego rzymskiego; przychodzi mu to zaś tem łatwiej, że księżna naprawdę rozmiłowała się w młodym chłopcu, on zaś nie chce być tylko jej kochankiem, sprzedaje się więc drogo i zostaje jej mężem.

Naokoło tego wątka snuje się cała galerya typów akademickich. Kandydatem dopiero do Akademii jest protegowany państwa Astier-Rehu, którzy od niego pożyczają pieniądze, wicehrabia de Freydet, autor zbiorku poezyi p. t. *Bóg w naturze.* W listach do siostry opisuje on nam całe życie akademickie. Powieść kończy się tragicznie. Astier-Rehu po długich oczekiwaniach zostaje nareszcie sekretarzem Akademii, ale jednocześnie prawie pada ofiarą podstępnego oszustwa, kompromitując się przytem jako historyk i akademik. Niejaki Fage, introligator, garbusek i amator pięknych kobiet, sprzedaje mu w ciągu lat kilku zbiór rzekomo wiarogodnych dokumentów historycznych za łączną sumę blizko 200,000 fr., w co historyk włożył cały swój mozolnie zebrany grosz. Fałszerstwo wykrywa się, z czego wynika skandal, ośmieszający całą Akademię. Astier wraca do domu przygnębiony i zgryziony, w domu zaś zamiast uspokojenia, spotyka się z wyrzutami żony, której nigdy nie kochał i która jego nie kochała. W rodzinie niedawno odbyła się także gwałtowna scena. Astier ojciec, twardy owerniak, mający wyobrażenie patryarchalne: oparł się stanowczo małżeństwu swego syna z byłą metresą księcia Athis i wyklął jedynaka. Po nowej scenie z żoną wybiega z domu i znajduje się nad brzegiem Sekwany. Staje mu wtedy żywo przed oczami bankructwo całego życia, jako uczonego, męża i ojca, rzuca się więc do wody i tonie.

Pod względem artystycznym ostatnia powieść Daudeta nie ustępuje poprzednim. Obok świetnego, przejrzystego języka, ten sam talent w obrazowaniu, ta sama bystrość i subtelność w spostrzeżeniach. Rysunek postaci wszakże jest mozajkowy

i sylwetkowy, brak mu szerokich pociągnięć pędzla. Realizm Daudeta — to robota drobiazgowa, miniaturowa; dostrzega on przytem najlepiej karykaturalne i wstrętne objawy ludzkie, a w *Immortelu* występuje pesymista bardziej zgorzkniały i złośliwy, niż w poprzednich swych utworach.

Wraz z Zolą wkraczamy w inną zupełnie dziedzinę szerokich i śmiałych rozmachów. Naturalizm twórcy *Germinala* przybiera niekiedy cechy romantyzmu i staje się prawie epopeą.

Marzenie wprowadza nas w świat średniowiecznych legend, cudów i gorącej wiary. Roztacza on znowu dzieje rodziny Rougon-Macquartów, których jest tomem ostatnim. Tłem—drugie cesarstwo i ustronna Pikardya. Powieść jednak zwojami bluszczu owija się wokoło omszałych murów gotyckiej katedry, stojącej już siedem wieków i snuje się w przytulonem do niej miasteczku, które wieki przetrwało bez zmian zbyt widocznych. Jest to kąt Francyi nowoczesnej, a kątów takich jest w niej wiele.

W cieniu starego gotyckiego tumu żyje skromna rodzina mieszczańska hafciarzy przyborów kościelnych. Dom Hubertów, przytykający do katedry, znajduje się w posiadaniu rodziny od czterech wieków i przechodzi z ojca na syna wraz z rzemiosłem zawodowem. Hubertowie, pracowici i uczciwi, są bezdzietni, przyjmują więc z otwartemi rękami do swego domu i traktują jak córkę biedne dziewczę, sierotę bez matki i ojca, którą złe obchodzenie się przygodnych opiekunów zmusiło szukać schronienia, w mroźną i słotną noc zimową u drzwi kościoła.

Angelika, śliczne, rozmarzone dziewczę, znajduje w domu Hubertów troskliwą opiekę, uczy się hafciarstwa i dochodzi w niem do artystycznej doskonałości; rozwija się zresztą jako lilia biała i nieskazitelna. W tem otoczeniu, pod osłoną ciepłego ogniska domowego, zagłusza w sobie zarodki krnąbrności i nerwowego rozdrażnienia, które na świat przyniosła, wyrasta natomiast jak bujny kwiat, pełen barw i zapachu w cieplarnianej atmosferze średniowiecznej. Wcześnie wczytuje się w stare księgi, drukowane gotykiem XV wieku i w zawartych tam żywotach świętych, opisach cudów i legend, znajduje obfitą karm dla serca, umysłu i wyobraźni. Sąsiedztwo starej katedry i mrok ją otaczający wpływa na nią tem potężniej.

Śliczna Angelika wyrasta na księżniczkę zaczarowanego zamczyska, gdy zaś dojrzewa w niej młoda dziewica, marzenia jej przybierają coraz wyraźniej kształty miłosne. Oczekuje jakiegoś bohatera, który zejdzie ku niej z obłoków lub ona sama się ku niemu podniesie. Młodzieńcem tym będzie albo św. Jerzy, który zstąpi z ołtarza, widzialnego z okienka jej panieńskiej izdebki na poddaszu, lub też oblubieńcem jej będzie sam Pan Jezus, kochanek świętych i przeczystych dziewic. Wierzy niezłomnie, że ten ktoś nadejdzie niewątpliwie gdzieś od katedry, czuje już, jak się zbliża, przeczuwa go i ogląda wreszcie na własne oczy. Kochanek tym razem przybrał zwyczajne pozornie kształty młodego robotnika w białej bluzie, zajętego naprawą kolorowych szyb w oknach kaplicy św. Jerzego. Młodzieniec jednak jest piękny i mimo swej bluzy robotniczej wydaje się wcieleniem zupełnem bujnych jej marzeń. Jest to ten właśnie, którego oczekiwała. On też krąży już od pewnego czasu pod jej oknami, jak cień, który się do niej przybliżał, póki nie przybrał postaci wyraźnej, człowieczej. Poznanie następuje w sposób zwykły, koło katedry, przy praniu bielizny. Młodzi ludzie kochają się nawzajem i miłość tę sobie wyznają. Miłość to w całem znaczeniu tego słowa dziewicza, rozmarzona, pełna blasków i pragnień nieokreślonych. Młodzieniec odpowiada najzupełniej anielskiej Angelice, płoną więc równocześnie jednem wielkiem uczuciem, które skończyć się może tylko z ich życiem. Okazuje się też, że młody robotnik, idealny Felicyan, nie jest prostym malarzem na szkle, lecz synem miejscowego biskupa i jednocześnie, prawie księciem udzielnym, panem sąsiedniego zamczyska, w którym przodkowie jego zamieszkują od kilku wieków. Nosi też nazwę Filipa VII d'Hautecoeur. Ojciec jego stracił w młodości piękną i ubóstwianą żonę, matkę Felicyana, z rozpaczy został duchownym, a następnie biskupem w swej ziemi dziedzicznej. Syna wychowywał zdaleka od siebie, widywać go nie chciał, matka bowiem wydanie na świat tego dziecka życiem własnem przepłaciła. Dopiero gdy młody d'Hautecoeur doszedł do pełnoletności, serce zaś ojca przyprószyły nieco popioły, decyduje się on powołać syna do siebie. W ten sposób Felicyan zjawia się około katedry i poznaje Angelikę. Wychowywał się w skromnym dostatku, wyuczył malarstwa na szkle i ornamentyki kościelnej z zamiłowaniem, wzrósł więc w warunkach podobnych do swojej lubej, teraz zaś niespodziewanie został panem.

Przemiana robotnika na udzielnego księcia nie dziwi bynajmniej Angeliki. Ona właśnie marzyła o takim niezwykłym kochanku i odkryciem tem niezmiernie jest uradowana. Oboje nie widzą żadnych przeszkód, któreby ich dzielić mogły i pragną się pobrać jaknajprędzej. Na małżeństwo jednak syna swego z ubogą robotnicą nie zgadza się w żaden sposób ojciec Felicyana. On już wybrał dla niego jedną z bogatych dziewic w okolicy. Felicyan błaga rodzica na klęczkach, żeby nie stawał na przeszkodzie ich niezwalczonej miłości; błaga jednak nadaremnie. Angelika dowiedziawszy się o oporze biskupa, spotkawszy go w kościele, pada przed nim na kolana. W uroczej postaci młodej, rozkochanej dziewczyny biskup zdaje się dostrzegać widomy obraz swej zmarłej żony, z którym walczy całe życie, który mu spokoju nie daje; ale opiera się tej pokusie — odmawia swego zezwolenia. Angelika wraca do domu zrozpaczona. Hubertowie starają się również wybić jej z głowy miłość i małżeństwo, które uważają za niemożliwe. Angelika czeka jednak cierpliwie i wierzy, że stanie się cud jakiś, który ją zbliży do Felicyana. Nie trzeba zresztą cudu. On ją kocha i również bez niej żyć nie może. Hubertowie nie dopuszczają do niej Felicyana i wpajają w nią przekonanie, że on jej nie kocha. Usiłują wreszcie obudzić w niej ducha religijnego poddania się, uległości, pokory. Dziewczę traci istotnie wiarę w Felicyana, ulega pokornie, lecz jednocześnie zamiera powoli zaczyna. Wtedy Felicyanowi udaje się ją zobaczyć i obudzić w niej nanowo nadzieję. Dziewczę jest już jednak złamanem, odrzuca też propozycyę wykradzenia jej, wbrew woli ojca i opiekunów. Gdy Angelika znajduje się już na łożu śmiertelnem, biskup ulega zaklęciom Felicyana i zezwala na związek. Ślub odbywa się istotnie z wielkim przepychem, nowożeniec odprowadza jednak martwą już oblubienicę od ołtarza...

Nie wiele mam do powiedzenia o ostatniej książce Guy de Maupassanta *Sur l'Eau*. Autor opowiada w niej letnią swą wycieczkę nad brzegi morza Śródziemnego, do Cannes, Nicy, Monaco. Opisuje nam swe wrażenia, kreśli sylwetki spotykanych typów, pokazuje parę zakochanych, na które spogląda z zazdrością, spowiada się zresztą z własnego usposobienia, od którego wieje zniechęceniem, utyskuje nad losem powieściopisarza, który wszystko a siebie przedewszystkiem musi analizować. Opowiada to pięknym swym językiem, lecz nuży czczością i próżnią.

Wogóle zresztą cały spółczesny naturalizm francuski nudzi i pewien niesmak sprowadza. Brak mu głębszego wniknięcia w duszę ludzką, zbyt chętnie natomiast czerpia się drobiazgów i szczegółów wstrętnych. Na ludzi i świat „naturaliści" patrzą przez zadymione szkło pesymizmu jałowego zniechęcenia. Figury wyprowadzone przez Daudeta w *Immortelu* są wstrętne i nikczemne. *Rêve* Zoli pełen jest w pierwszej połowie idealnego blasku, wiary, polotu, potem jednak na te młodzieńcze marzenia kościół, konwenanse i Zola kładą zimną rękę, która nas swem lodem przejmuje do głębi. Guy de Maupassant jest widocznie znudzony i zaprzestał nawet od pewnego czasu pisywać swych mistycznych nowelek, w których jednak drgało jeszcze życie i zdawał się na dnie leżeć pewien głębszy jakiś pogląd... Loti znużył już śmiertelnie swą *Panią Chryzantemę*, której kochać nie może... Czyż literatura ma nas denerwować, wyziębiać i bezsilnym przepełniać niesmakiem?

P. E.

T E A T R.

Reprezentant domu Miller i Spółka, komedya w 1 akcie Wład. hr. Kozłebrodzkiego.

Jesteśmy w dworku wiejskim pana Szaławy. Godzina to widać popołudniowa. Lato — skwarne, dzień — pogodny. Kapłan ogniska domowego i kapłanka (p. Ostrowski i p. Borkowska)—spoczywają *po trudach*, każde w swoim fotelu, słodkiej oddani drzemce. Przy drugim stole siedzą dwie panny — blondynka i szatynka—żadną podobno nie zajęte pracą. Taki obraz typowego szczęścia na ziemi odsłania się oczom naszym w chwili, gdy niewidzialna dłoń podnosi kortynę. Terenia, jasnowłosa (p. Czaki) pierwsza błogą przerywa ciszę: „Stryjaszek zasnął i ciotunia także!" Tem jednem już zdaniem, w którem brzmi naturalne echo żalu i skargi, zdradza dziewczę na tle otoczenia swą naturę zdrową i manifestuje ukryty w organizmie spory zasób życia, mający własność rozpraszania nudy — nawet śród pustkowia. Oprócz Tereni są tu jeszcze inne pierwiastki, wprawiające w ruch ciężką, pierwotną maszynę dworku wiejskiego: muchy, poczta i.. wędrowni komisanci. „O! te muchy, te muchy!" — krzyknął budzący się nagle ze snu, Jowisz domowy — i jak na skinienie czarodziejki, mały Olimp zadrgał życiem... Terenia, którą mamy chęć posądzać o magiczne wywołanie tego cudu, jest w ciągu minuty gońcem różnych wieści i niby skrzydlaty Hermes, „wolę pańską nosi i odnosi." Różne zlecenia kładzie odrazu ziewający „stryjaszek" na jej młode barki, a „fajka" i „kawon" zajmują pierwsze miejsca w rzędzie zapotrzebowanych przedmiotów. Zawitała wreszcie poczta, a z nią — *Gazeta lwowska*, dziennik mód, awizacye, listy. Polityka śród członków tego grona żadnem nie cieszy się uznaniem; korespondencye banków, przypominające wypłatę pożyczek, nudzą i gniewają pana; mody bawią, jak się zdaje, pannę Eugenię (p. Trapszo), a sążnista, przepełniona ploteczkami, epistoła „cioci Kasi" radośnie wzrusza dziedziczkę. „Nieoszacowana" kuzynka, na kilku arkuszach, czyny jednego tylko opiewa bohatera. Jest nim hrabia Cezary — Krezus na całą Galileję, młodzian, świeżo przybyły z Anglii, a mgłą tajemniczości otoczony. Poszukując dozgonnej towarzyszki, dziwnemi on do celu kroczy drogami: zamiast przedstawić się w jednym, drugim domu, gdzie są panny na wydaniu, podróżuje *incognito*, zręcznie przebrany — w tym głównie celu, by grunt moralny kandydatek należycie zbadać i nie omylić się w wyborze. W jednym domu zjawił się, jako kolporter, w drugim, jako handlarz koni: tam zraziła go choroba dziedziczna, zwana księgowstrętem, tu — życie nad stan. Niezwykła wiadomość zelektryzowała matkę, dbającą o szczęście dorodnej córy, a silne wrażenie

udzieliło się i jej małżonkowi. Listu adresatka nie doczytała do końca i zachowała sobie ostatnie jego karty na usypiający nektar... do poduszki. Wobec takiego nastroju umysłów przybywa do dworu jakiś Emanuel, przystojny młodzian (p. Wolski) tytułujący się „reprezentantem firmy handlowej Miller i Spółka.“ Z początku traktuje go Szaława, jako człowieka „z ulicy;“ ale gdy pani domu zauważyła wytworne maniery przybysza i spostrzeżenie, wraz z odpowiednim komentarzem, zakomunikowała mężowi, Emanuel (który będąc świeżym pracownikiem, jako zbiedniały, wskutek nieopatrznego życia, panicz, miał powód osłaniać swe imię pewną tajemnicą) ujrzał się znienacka... na piedestale. Następuje cały szereg oddziaływań, zwykle towarzyszących podobnym efektom: wysiłki umysłowe, plany uczt i zabaw, gwałtowne jednem słowem przyciąganie i kokieterya. Kiedy już złudzenie doszło do swego apogeum, pani Szaławina wyczytuje nagle z listu „cioci Kasi,“ że hrabia Cezary przeszedł z legendy w sferę rzeczywistości — jest to, jak się przekonano, człowieczek „brzydki, mały, chudy, rudy i zezowaty.“ Ponieważ rysopis nie odpowiadał temu, co za oryginał brano, wydobywające się z piersi dziedziczki, rozpaczliwe echo zawodu fatalnie z razu wpłynęło na losy gościa, który po młodzieńczemu w szczerość okazywanej uwierzył sympatyi. Duch opiekuńczy wszakże, gospodarujący w starem królestwie sztuki, czuwał nad jego dolą, i właśnie wtedy, gdy go za progi niegrzecznie wypraszano, urocze nastręczył spotkanie, pozwalając odnowić i węzłami ślubu utrwalić poczęty przed kilku laty w Szczawnicy, stosunek serdeczny z kopciuszkiem—Terenią.

Oto zarysy i główne cienie najnowszej komedyi p. Koziebrodzkiego. Tok jej — potoczysty, rozwój — prawidłowy, barwa — pogodna, charaktery — niezamglone, tendencya — zdrowa; fabuła tylko nieco zużyta, a środki artystyczne ze starego wzięte arsenału. Ale... *quid novi sub sole?*

Ekspozycya utworu, wytrawnym powierzona siłom, podniosła jego wartość. Najwdzięczniejsza rola — „wiochny-kopciuszka“ dostała się w udziale p. Czakównie. Zrobiła też z niej ona prawdziwe cacko, błyszczące iskrą życia i barwami kwiatów bogate.

A. G. B.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Rozrywka w sprzecznych doniesieniach o p. Lindleyu. — Wyjaśnienie w sprawie rozstrzelania niedźwiedzia. — Logiczny wniosek z faktów ujawnionych.— Władza plotki.— Dumania nad spisem imiennym spółki Zwierzyńca. — W Paryżu warto być zabójcą. — Sława cudzych zbrodni u nas.— Pod wpływem Francyi. — Morfiniści umysłowi. — Bliziński o barbaryzmach i dziwolągach językowych. — Fabrykanci gwary wszechświatowej.

Rzetelną wdzięczność czuć można dla pism, które ująwszy za nogi przewodnich inżenierów kanalizacyi, biją się ich głowami po źródłach „dobrze informowanych.“ Chociaż bowiem ten rodzaj polemiki rozdrażnia namiętności walczących, a nam zaciemnia prawdą, w obecnych czasach wyjałowienia się życia i nudy jest nieocenioną rozkoszą jednego dnia przeczytać, że p. Lindley przestaje sterować robotami kanalizacyjnemi, a drugiego — że „wiadomość ta nie ma żadnej podstawy.“ W braku innej dobra i taka rozrywka. Mógłby ją popsuć korespondent *Kraju*, który robi minę najlepiej powiadomionego w tych sprawach, ale widocznie nie chce pozbawić nas przyjemności rozwiązywania zagadki. Niech go za to fortuna szczodrze wynagrodzi. Gdybyśmy raz dowiedzieli się jasno, na co kanalizacya choruje, stracilibyśmy, my literaci, od lat paru trwającą sposobność uczestniczenia w inżenierskiem konsylium i stawianiu przeróżnych dyagnoz technologicznych. Ty czytelniku nie rozumiesz, jaka to rozkosz dla poety lub filozofa rozprawiać o tem, dlaczego rury pękają i jakie gazy tworzą się w przykanalikach.

Chociaż moje *Liberum veto* jest klatką, staram się w niem nie naśladować drapieżnego niedźwiedzia i nie obdzierać nikomu skóry z głowy. Tymczasem po przeczytaniu listownej odpowiedzi jednego z przyjaciół *Prawdy* na moje uwagi o rozstrzelaniu winowajcy w Zwierzyńcu, powinienem mniemać, że zdradziłem naturę dziką. Może ją uszlachetnię, zamieniwszy się na telefon, zapomocą którego do czytelników naszych przemówi mój przeciwnik. Twierdzi on, że zabicie niedźwiedzia nie było ani aktem mściwej sprawiedliwości, ani też ustępstwem ofiarnem dla reporterów i podnieconej przez nich opinii publicznej, lecz poprostu potrzebą gospodarczą. Mały Ogród zoologiczny posiadał aż 7 niedźwiedzi, które były dla niego zbytkiem kosztownym; musiał więc paru pozbyć się, a sprzedać za granicę nie mógł, gdyż Hamburg (główny rynek handlu dzikiemi zwierzętami) sprowadza je z Rosyi Dźwiną i Bałtykiem. Nadto p. prokurator, prowadzący śledztwo, chciał zbadać miejsce wypadku: należało tedy dla bezpieczeństwa albo zrujnować schody marmurowe, albo sprawcę nieszczęścia usunąć. Wybrano drugi środek i dogadzając konieczności ekonomicznej, niedźwiedzia zabito. Był on lub którykolwiek z jego towarzyszów dawno na śmierć skazany, a z wykonaniem wyroku czekano tylko do pory... lepszego futra. Rzeczywiście, jeżeli tak sprawa się miała, trudno w niej znaleźć szparę, w którąby można było wsadzić przyganę. Ale z drugiej strony proszę zarząd Zwierzyńca, ażeby stanął na stanowisku obserwatora i wnioskował z tych faktów, które wyszły na widok publiczny: niedźwiedź zagryza człowieka, jeden z reporterów usprawiedliwia go głodem, zarząd każe rozstrzelać winowajcę i pokazuje ciekawym jego „tłuste połcie“ dla odparcia zarzutu, że go źle karmił. Czy to wszystko nie wyglądało na zbytnią uległość dla głosów plotkarskich i pozbawianie ich rezonansu w opinii publicznej natychmiastową śmiercią zwierzęcia? Owa zaś uległość jest u nas tak wielką, byle reporter tak przeraża ludzi najpoważniejszych, tak oni do serca biorą najlekkomyślniejsze głupstwo drukowane, że powyższy wniosek nasuwał się z tem silniejszą logiką. Widziałem nieraz człowieka, który przez kilkadziesiąt lat składał wymowne dowody rozumu lub uczciwości i który drżał po przeczytaniu w mizernej gazetce najniedorzeczniejszego o sobie zdania.

Spółka Zwierzyńca liczy obecnie 457 uczestników. I w niej, jak we wszystkich u nas stowarzyszeniach, dostrzegamy ten sam objaw: znaczną przewagę osób, nienależących do t. z. żywiołu „rdzennie“ miejscowego. Z 457 nazwisk aż 273 należy do „przybyszów“ i mieszańców, a zaledwie 184 stanowi czysty „rdzeń.“ Nie ja potrzebuję być przekonywanym, bo w to oddawna wierzę, że nasi ziomkowie ćwierć i półkrwi, a nawet bez krwi rasowej są często światlejszymi i zacniejszymi synami swego kraju, niż folbluci; ale zarazem nie mogę obronić się smutnemu uczuciu, widząc na każdym kroku tę naszą rodzimą, „rdzenną“ niezdolność do udziału w pracach i przedsięwzięciach społecznych. *Many* lub *ery* stawią się z energią, dobrą wolą i środkami do każdej roboty zbiorowej, mającej na celu dobro ogólne; *skich* i *iczów* daremnie wabi i zwołuje głos tego dobra. Ostatecznie musimy pogodzić się z przekonaniem, że bez pomocy płonek szczepionych na pniach obcych, nie dokonalibyśmy dziś żadnej pracy zbiorowej. Wyłączmy z Towarzystwa muzycznego i wioślarskiego, ze spółek ekonomicznych i banków — tych, których pochodzeniu urąga lada fagas „rdzenny,“ a nazajutrz runą wszystkie te gmachy.

„W Paryżu warto być zabójcą“ — powiada jeden z naszych *Kuryerów*. Sądzono tam dwu morderców. Zajmował się nimi nietylko Paryż, Francya, ale Warszawa i czytelnicy jej gazet. Niema tak donio-słego faktu, nie ma tak wielkiego bohatera w dziedzinie wiedzy lub sztuki, który by u nas dorównał swą sławą rozgłosowi zbrodniarza paryskiego. Ustępuje mu nawet najznakomitszy tenor. Zajmuje się nim telegraf, utalentowani korespondenci, redaktorzy i setki tysięcy czytelników. Nikt poważnie myślący nie zaprzeczy, że to zatapianie uwagi w błocie występku jest objawem chorobliwym. Bo czyż człowiek lub naród moralnie zdrów będzie z upodobaniem babrał się we wstrętnych tajemnicach złoczyńcy, rozłożonych na stole sądowym? Czyż podobna bez zwyrodnienia moralnego napawać się wonią krwi zakrzepłej, echami jęku mordowanych ofiar, odmalowanym przez zeznania świadków i winowajcy widokiem trupów? A jednakże jest to najczęściej ukazywana panorama w naszych dziennikach brukowych, najponętniejsze obrazy naszych czytelników. Czy rozstrojone ich nerwy potrzebują istotnie takich podrażnień, czy społeczeństwo nasze tak nadgniło, że z własnego upodobania lgnie do tych obrazów zbrodni, zdaleka mu ukazywanych? Jest to kwestya, nad którą winniśmy poważnie się zastanowić, bo żaden inny naród nie karmi się w tym stopniu, co my, kryminalistyką obcą. Według mnie, gust ten wytworzył się w nas pod wpływem Francyi, od niej dostaliśmy go wraz z wieloma upadlającymi i ogłupiającymi darami. Że on z tego wypłynął źródła, przekonywa chociażby ten fakt, że nas głównie zajmują zbrodnie francuskie. Gdyby ten sam morderca wystąpił na scenę nie w Paryżu, ale w Neapolu, Christyanii lub Hamburgu, cała jego sława przebrzmiałaby nam mimo uszu. Nas interesuje wszystko, co interesuje prasę paryską: Boulanger, spodnia toaleta kobiet, udających się na schadzki, Sara Bernhard, Coquelin, umizgi Zoli do Akademii, wieża Eiffla, wyścigi na Longchamps, utrzymanka ks. d'Aumale — itd. Warszawa to jak gdyby przedmieście Paryża. O czem mówią jego Bulwary, o tem musi mówić nasze Krakowskie przedmieście lub Plac teatralny. Skoro więc dzienniki paryskie rozprawiają o zbrodniarzach, ich kochankach, i... sonetach, my spełniamy nasz małpio-papuzi obowiązek. Wiem dobrze, iż ani ja, ani wszyscy, którzy oceniają skutki tej zależności, nie złamią jej żadnym protestem lub dowodzeniem. Co najmniej lat 100 ma już nasze poddaństwo i bałwochwalstwo względem Francyi, a tak zadawnione słabości nie leczą się odrazu. Jesteśmy wobec niej morfinistami, którzy wiedzą i przyznają, że ich narkotyk truje, ale nie mają siły porzucić go, bo on tylko ich podnieca. Rzeczywiście, proszę spojrzeć, jak ci ospali, obojętni, ziewający przy spisywaniu protokółów życia angielskiego lub niemieckiego dziennikarze warszawscy ożywiają się, odzyskują zapał i energię, gdy zastrzykną sobie kilka szprycek morfiny francuskiej z apteki *Figara*. Całkiem inni ludzie — żwawi, dowcipni, rozweseleni! Odwar ze skandalów i plotek paryskich przeistacza ich całkowicie. Na chorobę tę niema lekarstwa.

Tak jak go niema na pleśniawkę językową, w znacznej części powstającą z tej samej przyczyny. Daremnie z nią walczył Skobel, Walicki i tylu miłujących mowę ojczystą. Nie pomogły ani wyrzuty, ani szyderstwa, ani klątwy. Dziennikarstwo hoduje coraz obficiej przeróżne grzybki, niszczące nasz język. Oskrobał go z nich znowu

i w jeden koszyk zebrał J. Bliziński. Doprawdy warto obejrzeć te *Barbaryzmy i dziwolągi* (Kraków). Nieraz zdaje się, że nasi literaci to nie pisarze do jakiegoś miejsca i narodu przywiązani, ale banda wędrownych cyganów, którzy kradną wyrazy rozmaitym narodom i wytwarzają z nich tułaczą gwarę. Oto kilka próbek: „W czasie *akmy* (najwyższego natężenia) przeszło 300 osób zapadło we Lwowie na cholerę.“ „Kiedyśmy się *ambarkowali*“ (wsiadali na statek). — „Uważa cześć obrzędową... za dziecińćstwo, dowodzące w nas *arierowania* (opóźniania się) umysłowego.“ — „Podczas huraganu jeden z okrętów poniósł ciężką *awarię*“ (szkodę). — „Rząd *awityczny*“ (?) — „*definitywne* (ostateczne) ułożenie stosunku“ — „*dementi* (zaprzeczenie) pogłosek“ — „dezyderat“ (żądanie) — „elaborat“ (wypracowanie) — „entente“ (porozumienie) — „enuncyacya“ (wynurzenie) — „fiducya“ (ufność) — „incydent“ (wypadek) — „sermon“ (mowa) — itd. itd. Bliziński podaje parę set tych dziwolągów, ale jest to zaledwie skromny bukiecik z obszernej niwy badyla językowego. Rzecz dziwna, wszyscy uznają potworność tej gwary, a rzadko kto usiłuje z niej wypleść swój zagon. Tak np. *Kraj*, wyszydziwszy te barbaryzmy i oklaskawszy Blizińskiego, pisze w tymże samym numerze: „...po raz pierwszy po *redukcyi* procentów w r. 1887 pokazał *preliminarz* prawdopodobny bez *wampira* niedoboru“; „*rabulistyczny* organ lewicy“; „dziennik *półoficyalny*“ — itd. Mamy więc dowód, że nawet ci, co chwalą lekarza i jego przepis, uzdrowić się nie mogą. Pewien procent wyrazów obcych w każdym i w naszym języku pozostać musi, bo one weń już od dawna wrosły; niektóre świeższego nalotu na gościnność z rozmaitych względów zasługują; nie chodzi więc o wywianie z mowy naszej wszystkich domieszek zewnętrznych, ale o wygarnięcie plew i śmieci, które sypią się z pod piór niechlujnych, niedbałych, niemających dla niej ani miłości, ani szacunku. Niekiedy artykuły naszych pism peryodycznych wyglądają jak te wiry powietrzne, w których wiatr, pochwyciwszy garść piasku, zeschłych liści i kłosów, kręci nimi po polu. Możnaby do pewnego stopnia przebaczyć owe: *akmy*, *awarie*, *enuncyacye* i *wampiry*, gdyby przynajmniej większość czytelników je zrozumiała; ale tak nie jest. Kiedyś opowiadano mi, że raz w pewnej cukierni kilku polityków długo obradowało nad odgadnięciem, co znaczy: *sistowanie stypulacyj* — wyrażenie, które często powtarza się w naszych gazetach. One więc gwałtem narzucają społeczeństwu tę sztuczną gwarę i bezmyślnie wynaradawiają język. Wyjątków od tej reguły jest tak przerażająco niewiele, że nadzieja zmiany pożądanej oprzeć się na nich nie może. Bo i cóż z tego, że np. *Gazeta warszawska* nie pozwala u siebie zgasnąć ogniowi czci dla języka ojczystego, kiedy cały szereg innych opuścił go lub zdmuchnął? Przeciwwaga za słaba. Gdyby wszakże ci fabrykanci nowotworów mowy pomyśleli przez chwilę nad swą robotą i przypomnieli sobie te względy, których tu uprzytomniać im nie będziemy, możeby ich przestraszył *wampir* skutków i zrozumieliby, że wyrządzają społeczeństwu ciężką *awarię*.

Poseł Prawdy.

PRASA RUSKA.

Dziennik Warsz. zaprzeczając doniesieniu gazet krakowskich, powtórzonemu przez niemieckie, jakoby Główny Naczelnik kraju wypowiedział mowę wobec przejeżdżającego przez Warszawę z Berlina posła Szuwałowa — powiada:

„Wymysł ten, podobny do wielu innych, codziennie ukazujących się „utworów“ w szpaltach pozakordonowej prasy polskiej, nie mógł naturalnie wywołać żadnych zaprzeczeń, ponieważ wiadomo wszystkim, że pismaki różnych *Dzienników*, *Czasów*, *Reform* itd. żyją bujną fantazyą, która im podsuwa, co się podoba, i otrzymują za swe wymysły datki z redakcyjnych, a być może nawet, że i z innych kas... Lecz jeżeli podobne zmyślenia gazet polskich znajdują odbicie w szpaltach niektórych, pozujących na powagę gazet francuskich i niemieckich, to jest godne zaznaczenia. Dziwić się tylko należy, jakim sposobem gazety te nie przekonały się o tem, iż polska prasa pozakordonowa żywi się bogatymi owocami fantazyi. Co się tyczy prasy austryackiej, która wystąpiła z powodu nieistniejącej nigdy „mowy“ p. Warszawskiego Generał-Gubernatora z całymi, nawet groźnymi artykułami, to o niej można powiedzieć, że tem właściwie żyje cała ta masa austryackich świstków niemiecko-madziaro-polskiej prasy, która wygraża Rosyi, chełpi się z austryacko-niemieckiego sojuszu, a w swych wewnętrznych sprawach korzysta często nawet w widokach patryotycznych z imienia Rosyi, jako pogróżki dla swoich.“

W tejże sprawie wystąpił z zaprzeczeniem *Journ. de St. Petersb.*

— *Warsz. Dniewnik* w innym numerze zajmuje się również listami z Warszawy do dzienników galicyjskich i wyraża zdziwienie, że te „wypracowania podane według przestarzałego szablonu rusożerczego,“ które „przeczytasz, uśmiechniesz się, wzruszysz ramionami i zapomnisz,“ uderzyły w inny ton. Mianowicie jeden z tych listów w *Nowej Reformie* skarży się na germanizacyę społeczeństwa przez polaków wyznania ewangelickiego. Mają to czynić głównie pastorowie.

„Dalej *N. Reforma* — powiada *Dniewnik* — napada na p. B., nowowybranego pastora gminy warszawskiej ewangelicko-augsburskiej, nazywając go „jednym z tych, którzy, idąc tą drogą, zapomnieli o obowiązkach względem kraju rodzinnego“ i mówi, że ten pastor, posiadający wysoką inteligencyę, może zasiać bardzo złe ziarna.“ Żadnych zresztą faktów, z którychby można sądzić o słuszności i znaczeniu istotnem owych skarg, gazeta nie podaje. Zwróciliśmy też uwagę na ten list, nie z powodu jego treści istotnej, która na podobieństwo wszystkich listów „z Warszawy“ jest żadną, lecz jedynie i wyłącznie z powodu jego motywu, tj. germanizacyi i prusofilstwa.“

Petersb. Wiedomosti zwracają uwagę na rozprawę p. Tatiszczewa w *Rusk. Wiestniku*, oświecającą wypadki z r. 1863. Według tej gazety, tylko przypadkowi zawdzięczać należy, że Bismark nie wygrał wówczas wielkiej stawki w grze z Rosyą. Jak wiadomo, Prusy zawarły z nią umowę, obowiązującą obie strony do łącznej polityki w sprawie polskiej.

„Konwencya — pisze p. Tatiszczew — dopuszczała pod pewnymi warunkami wprowadzenie wojsk pruskich na terytoryum ruskie. Dlaczego punkt ten nie był wypełniony? Dlatego—odpowiadają nam w Berlinie — ponieważ okazało się to rzeczą zbyteczną, bo wojska ruskie i tak same dały radę z powstańcami. Coby się jednak stało, gdyby powstańcy rozbili i pokonali nieliczne oddziały naszej armii, rozrzucone na olbrzymich przestrzeniach Królestwa Polskiego, manewrujące luźno, bez jednego wspólnego dowódcy? Taki rezultat walki, mimo całego nieprawdopodobieństwa, uważany był wówczas za całkiem możliwy zarówno w Berlinie, jak Petersburgu. W takim razie—odpowiadamy—wojska pruskie wkroczyłyby na zasadzie konwencyi do Królestwa Polskiego pod pozorem udzielenia nam pomocy, rozumie się jednak, że skoroby raz się tu znalazły, nie wyszłyby już nigdy.

Że konwencya zawarta została wyłącznie w takich widokach, tego dowodzi choćby ta okoliczność, że gdy sprawa wzięła inny obrót, nikomu w Prusiech nie przyszło nawet do głowy postarać się o wykonanie innych punktów umowy.

Mamy wszelkie prawo utrzymywać, że tylko dzięki waleczności armii ruskiej, która szybko stłumiła powstanie w miejscowościach leżących na pograniczu Prus, Królestwo Polskie uratowane zostało dla Rosyi. Nie zagrażały nam wtedy poważnie słabe wysiłki powstańców, lecz tajemne machinacye ościennego państwa, które pod maską fałszywej przyjaźni wyłudziło od nas pozwolenie na wpuszczenie jego armii we własne nasze granice. Nie zapominajmy nigdy, że cały kraj Przywiślański jest oddawna dla Prus smacznym kąskiem. Ówczesna dyplomacya ruska nie odznaczała się bystrością, to też ani jej przez myśl nie przechodziło nic podobnego. Przeciwnie, w konwencyi owej widziała tylko dowód rzetelnej przyjaźni ze strony Prus, życzących sobie jakoby pospieszyć z pomocą i oddać nam pożyteczną usługę.

Na tem to fałszywem pojęciu opierała się jak obecnie powszechnie wiadomo, cała późniejsza polityka dyplomacyi naszej za przeszłego panowania, przyczem zapomniano całkiem o wielkiej prawdzie politycznej, wypowiedzianej jeszcze przez Macchiavela: „Kto przyczynia się do wzmocnienia sąsiada, sam sobie gotuje zgubę.“ Szczęściem my, jak się zdaje, upamiętniliśmy się jeszcze w porę.“

Now. Wremia odbiera następującą wiadomość z Warszawy:

„W tutejszych sferach ruskich panuje wielkie zdziwienie, dlaczego królowa serbska Natalia nie pragnie nabyć majątku ziemskiego w zachodnich krajach Rosyi, lecz właśnie w Królestwie Polskiem. Podobno dobra wybrane dla niej leżą w powiecie Kutnowskim; jedne należą do p. Zawadzkiego, drugie zaś są własnością prusaka von Treskowa.

Pomijając kwestyę, na jaki majątek padnie wybór królowej, zwrócić należy uwagę, iż zarząd dóbr powierzony zostanie bezwarunkowo miejscowym technikom, bo rosyan, mogących zarządzać majątkiem i znajdującymi się w nim zakładami fabrycznymi, niema u nas wcale; niemców zaś, prawdopodobnie, sama właścicielka życzyć sobie nie będzie. A wiadomo, że kto u nas nie zarządza osobiście większym majątkiem, ten też nie może spodziewać się odpowiedniego procentu od włożonego kapitału. Uwaga ta ma tutaj tem większe zastosowanie, że za dobra p. Zawadzkiego żądano od królowej bardzo wysokiej sumy, bo podobno 1,800,000 rs.

A zatem, jeżeli nam wolno dać królowej skromną radę, sądzimy, że powinnaby obejrzeć się za dobrami we wdzięcznym kraju Południowo-zachodnim, w którym cena ziemi z powodu szczupłej liczby nabywców jest nizka. A dobrych majątków jest tam mnóstwo, mnóstwo też amatorów pragnących sprzedać ziemię.“

Rusk. Starina przytacza następujące sprawozdanie słynnego malarza Wereszczagina z wojny turecko-ruskiej.

„Przyprowadzono—mówi Wereszczagin— do generała Strukowa dwóch straszliwych zbójów, albańczyków, którzy, według zapewnień bułgarów, wyrzynali dzieci z wnętrzności matek. Generał kazał ich skrępować mocno; dragoni obrócili ich plecami jeden do drugiego i związali w łokciach tak, że zsinieli i ruszyć się nie mogli. Obaleni na ziemię albańczycy, jak dwa tygrysy spoglądali z podełba na tłum otaczających ich bułgarów, złożony z kobiet i dzieci, wymyślający im, obrzucający ich kamieniami i błotem. Żołnierz, stojący przy nich na warcie, ma się rozumieć, nie przeszkadzał tej rozrywce bułgarów.

Prosiłem Strukowa, aby ich kazał powiesić, ale nie zgodził się na to, rzekłszy, że nie lubi tego podczas wojny i że nie weźmie na swe sumienie tych dwóch zuchów, lecz odda ich Skobelewowi; niech ten robi, co mu się podoba.

— Dobrze, odrzekłem, poproszę Michała Dymitrowicza (Skobelewa), ten prawdopodobnie nie będzie robił ceregieli.

— Co się panu stało — zauważył Strukow — żeś się pan zrobił tak krwiożerczym? Nie rozumiem pana.

Wtedy przyznałem się, że nie widziałem dotąd jeszcze wieszania i bardzo interesuje mnie ta procedura.

Gdy nazajutrz przyszedłem popatrzyć na albańczyków, litość mnie zdjęła; szkoda, że ich

w tej chwili nie rozstrzelano. Spuchli całkiem, zsinieli od więzów, leżeli na ziemi, szepcząc po cichu: „aman,“ „aman;“ ich czalmy i fezy były poszarpane, twarze i głowy porozbijane, skrwawione od gęstych pocisków kamieni rzucanych z tłumu. Żołnierz postawiony na warcie chodził obojętnie, nie widząc potrzeby mięszać się w tę sprawę.

Skobelew przyjechał nad wieczorem.

Prosiłem go, aby kazał powiesić tych dwóch rozbójników Ten odrzekł: „I owszem.“ i wezwawszy pułkownika K., dowódcę batalionu strzelców, polecił mu zwołać sąd polowy nad dwoma pochwyconymi albańczykami i dodał:

— Ale bądź pan łaskaw kazać ich powiesić.

— Słucham pana generała — brzmiała odpowiedź.

Sądziłem, że sprawa moja wygrana, tj. że przed wyjściem naszem z Adryanopola zobaczę tę egzekucyę i potem oddam ją na płótnie. Ale stało się inaczej; przed wyjściem, znalazłszy obu przyjaciół w tem samem, nie do zazdrości położeniu i zapytawszy: „czy ich nie będą wieszać,“ otrzymałem odpowiedź: „nie.“ Dowiedziawszy się o wyroku sądu polowego, Strukow poprosił Michała Dymitrowicza, aby nie zabijał tych dwóch kawalerów; prawdopodobnie żyją oni do tej pory i wysławiają miłosierdzie władz ruskich.

Odmalowałem ich w pozie skrępowania.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Bank włościański. Organizacya biur Banku włościańskiego w Warszawie, Piotrkowie, Lublinie i Łomży będzie dokonana w ciągu bieżącego miesiąca. Dyrektorowie są już zamianowani. Warszawskim oddziałem zarządzać ma dotychczasowy komisarz do spraw włościańskich, r. st. Dubrowin, piotrkowskim — r. st. Tiepłow, komisarz pow. nieszawskiego, lubelskim — sekretarz kolegialny Sławiński, kom. pow. chełmskiego, łomżyńskim — asesor kolegialny Anuczyn, kom. pow. płockiego.

Rewizya kotłów. Z rozporządzenia technika gubernialnego wszystkie kotły w warszawskich fabrykach powinny być zrewidowane w jaknajkrótszym czasie. Oględziny te będą dopełnione niezależnie od rewizyj peryodycznych.

Szpital zapasowy, urządzony na 50 chorych, otwarto w Warszawie za rogatkami wolskiemi na czas zimowych miesięcy.

Nowe źródło. Ze Lwowa donoszą, iż w Krościenku pod Krasnem w kopalniach hr. Grevego, w głębokości 235 metrów, trysnęło niezmiernej obfitości źródło nafty, dające 150 beczek dziennie.

Stypendya. Przy szkole technicznej kolei Wiedeńskiej utworzone będą dwa stypendya. Uczniowie korzystający z nich, po ukończeniu szkoły, będą wysyłani za granicę dla dalszego kształcenia się.

Nowy karabin Grubińskiego został wypróbowany na polu Mokotowskiem wobec specyalistów. W kolbie mieści on 12 ładunków i przy strzelaniu był dwa razy opróżniony w ciągu minuty. Następne próby odbywać się będą w Petersburgu.

Odmowa. *Kur. warsz.* donosi, iż jedna z kobiet, utrzymujących zakład przemysłowo-rękodzielniczy i szkołę nauki krawieckiej, zwróciła się do tutejszego magistratu z prośbą o zapisanie jej do cechu krawieckiego. Obowiązywała się złożyć egzamin fachowy, podanie zaś swoje usprawiedliwiała tem, iż uczestnictwo w cechu potrzebnem jest jej do nawiązania stosunków z Cesarstwem i rozpowszechnienia tamże wydanej przez nią szkoły do nauki krawiectwa. Zarząd miejski, opierając się na stosownych przepisach, odmówił.

Szkoły. Rada lekarska ministeryum spraw wewnętrznych rozpatruje projekt założenia instytutu lekarskiego dla kobiet.

— W gimnazyum częstochowskiem odbywać się będzie co niedzielę i święto czytanie utworów literatury ruskiej. Lektorami będą nauczyciele języka i literatury ruskiej.

— Do Rady państwa wniesiono projekt utworzenia wyższych zakładów naukowych pedagogicznych dla kobiet. Zakłady te zastąpią istniejące obecnie kursy pedagogiczne w Petersburgu, Moskwie i Kijowie. Programy ulegną znacznym zmianom i skróceniom. Zupełnie będą wykluczone przedmioty specyalne: chemia, filologia, filozofia itd. Natomiast pedagogiczne i dydaktyczne obszerniej będą traktowane. Na tych zasadach mogą powstawać takie zakłady we wszystkich miastach, gdzie są uniwersytety. Będą one zależeć od ministeryum oświaty.

— Zarządzający ministerym oświaty, w celu natychmiastowego wprowadzenia języka ruskiego jako wykładowego do szkół ludowych w gub. nadbałtyckich, uznał za konieczne ogłosić następujące rozporządzenie: wszyscy nauczyciele i nauczycielki, niemogący wykładać po rusku, zostaną usunięci. Tym, którzy jeszcze nie są dostatecznie przygotowani, odracza się termin do sierpnia r. p. Mogący wykładać po rusku, ale uchylający się od tego, mają być natychmiast uwolnieni od obowiązków. Kandydatów na posady nauczycieli może na równi z kolegiami szkolnemi mianować władza miejscowa.

— Z postanowienia ministra dóbr państwa, kończący kursy szkół rolniczych z patentem pierwszego rzędu i ze świadectwem na prawo wstąpienia do Akademii petersburskiej, będą mogli składać egzaminy na otrzymanie stopnia kandydata gospodarstwa wiejskiego.

Departament górniczy ministeryum dóbr państwa polecił inspektorom okręgów naukowych, aby co tydzień telegraficznie zawiadamiali ministeryum o stanie eksploatacyi węgla w każdej kopalni, o ilości zamówień itd.

Literatura. Komitet wydawnictwa dzieł Kochanowskiego na nowo rozpoczął swe czynności. Tom czwarty obejmie życiorys poety, bibliografię dzieł, rozprawę o języku i domniemanych wizerunkach jego, oraz dwa utwory nagrodzone: Maryi Konopnickiej i Stefana z Opatówka.

Odczyty. Zarząd Towarzystwa osad rolnych zapowiada, że udział w odczytach przyjąć mają: p. Jan Bloch, prof. Fryderyk Bylicki z Krakowa, literat Donimirski, adwokat Jawornicki z Krakowa, prof. baron Lesser z Lipska, Ochorowicz, Wł. Olendzki, adw. Plebiński, Henryk Sienkiewicz, prof. Straszewski z Krakowa, adw. Suligowski, prof. Szajnocha z Krakowa.

Prasa szwajcarska domaga się połączenia wszystkich uniwersytetów, istniejących w Szwajcaryi, w jedną wszechnicę związkową. Pięć uniwersytetów (w Zurychu, Bernie, Bazylei, Genewie i Lozannie), jak utrzymują pisma, jest to za wiele na tak mały kraj; jedna wszechnica wystarczyłaby zupełnie, a uposażona w bogatsze środki, mogłaby współzawodniczyć z najlepszymi zakładami w innych państwach. Ogół nie popiera jednak tej myśli.

Zapisy. Zmarły w Żytomierzu obywatel, Antoni Laskowski, zapisał majątek swój 80,000 rs. na stypendya.

— Ks. Wojciech Michna, proboszcz w Chłopicach pod Jarosławiem, pisarz ludowo-historyczny, zapisał 6,000 złr. na założenie szkoły przemysłowej w Krościenku Wyższym. Sumę powyższą uzbierał wyłącznie ze swych prac literackich.

— Zmarła w zeszłym miesiącu we Włoszech Antonina Brodziczowa, zapisała cały swój majątek 10,000 dziesięcin ziemi w pow. kobryńskim gub. grodzieńskiej, na założenie domu obłąkanych w tym majątku. Zapis wejdzie w wykonanie, jeżeli obłąkany syn testatorki nie będzie wyleczony.

Urządzenie izb ogrzewalnych dla ubogich podczas zimy w Warszawie przy cyrkułach uznano w tym roku za niemożliwe z powodu szczupłego pomieszczenia. Kandydaci odsyłani będą do przytułków noclegowych na Koszykach i na Pradze.

Prasa. Od Nowego roku zacznie wychodzić w Warszawie jeszcze jedno pismo codzienne p. t. *Ziarno*, tańsze od dotychczasowych.

Podatek od psów będzie zaprowadzony w całem państwie. Opłaty od psów myśliwskich będą najwyższe. Włościańskie od podatku będą uwolnione.

Bibliografia. Z. Morawska, *Wilcze gniazdo*, powieść z czasów krzyżackich dla dorastającej młodzieży, z rycinami S. Witkiewicza, Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 169.

— B. Prus, *Placówka*, powieść, Warszawa, str. 392. (Znany czytelnikom naszym ten klejnot literatury polskiej ukazał się w wydaniu trzeciem).

— F. Morzycka, *O ojcowiznę*, czyli jak sobie jeden chłop z niemcami poradził, z powieści B. Prusa *Placówka* (z ilustracyami) Warszawa, str. 125.

Kalendarz wszelki jest przedewszystkiem książką praktyczną, a jego okrasa literacka posiada znaczenie dodatkowe. Nie zastanawiamy się przeto nad tą przyprawą *Łodzianina* (chociaż on zawiera utworki zręczne, a między nimi parę wierszyków udatnych), lecz kładziemy nacisk na stronę informacyjną, która odpowiada zadaniu.

Fabryka firanek w Warszawie będzie w ruch puszczona za kilka tygodni.

Służebności. *Graždanin* donosi, iż ministeryum spraw wewnętrznych rozstrzyga obecnie pytanie, czy nie byłoby na czasie znieść serwituty drogą polubownego porozumienia właścicieli ziemskich z włościanami.

Ze Lwowa donoszą, iż komisya propinacyjna, zwołana przez wydział krajowy, po trzydniowych naradach, wyraziła jednomyślnie życzenie odrzucenia projektu rządowego o wykupie propinacyj.

— Zamknięto urzędownie we Lwowie filię fabryki obuwia w Moedlingu, która rujnowała szewców miejscowych swem spółzawodnictwem.

Katastrofy. Koło Bombaju trąba powietrzna zatopiła parowiec wiozący 900 krajowców na pokładzie.

— W rozmaitych okolicach nadbrzeżnych Irlandyi panują straszne orkany. W Edynburgu i Glasgowie burza poczyniła wielkie szkody.

— Parowiec ruski „Archangielsk,“ który wypłynął z Petersburga do Archangielska, zatonął na wodach Norwegii południowej wskutek starcia z niewiadomym okrętem. 19 osób utonęło.

Zmarli. Feliks Platek, jeden z najbardziej znanych współpracowników *Figara*, piszący pod pseudonimem Ignotus a.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

L. C. w P. Bardzo nas to cieszy, że w gronie naszych czytelniczek znalazła się tak potężna inteligencya, iż może lekceważyć dzieło, które my uznaliśmy za bardzo dobre i pouczające. Ażeby jednak nasz podziw złączył się z wdzięcznością dla Pani, prosimy o wskazanie, z jakich to „gazet“ powstała owa książka. My bowiem tylko wiemy, że za wzór w napisaniu jej, obok innych źródeł, służyła najznakomitsza w tej dziedzinie praca niemiecka Buhlego.

P. J. Drz. Nie dla nas.

P. An. Ben. Nie jest to książka, lecz artykuł w *Revue philosophique* z r. 1887.

H. S. Jeżeli fantazya Pańska nie jest wątkiem przerwanym, to nie rozumiemy ukrytej pod nią myśli, a przyznajemy tylko wartość formie.

A. B. C. Nie radzibyśmy Pana zniechęcać, zwłaszcza że pewne rysy talentu widzimy; ale epigramaty Pańskie nie posiadają koniecznego w takich drobiazgach artyzmu. Tu każdy szczegół musi być wyrzeźbiony. W ośmiu wierszach niepodobna się zaniedbywać („drżą łydki goręcej“ (?), „*przeszło* semestru *połowę*“ (?) — itd.).

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Ogłoszenia.

Medal zasługi, Kraków 1887 r. II wydanie broszurki z ilustracyami.

ZATWIERDZONY PRZEZ RZĄD

GWARANCJA 15-TO LETNIA

EXSICCATOR

PEWNY ŚRODEK

Osusza wilgoć, zabezpiecza od gnicia i grzybka, zastępuje farby. Broszurki bezpłatnie. — Inż. G. Ritter.

39 Królewska 39

POSZUKUJĘ AGENTÓW

Uwaga. Wynalazku mego **nie należy** porównywać z reklamowanemi w ostatnich czasach smołami (gudronit).

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH.

Nagrodzone listem pochwalnym i medalami na Warszawskiej, Krakowskiej i Lwowskiej Wystawach Hygieniczno-Lekarskich, koncesyonowane przez Władze Lekarskie

Ekstrakt i Karmelki „Leliwa,"

przygotowywane podług wskazań Lekarzy i Chemików. pewniejsze i o 50 procent tańsze od zagranicznych; flaszka ekstraktu mlodowo-ziołowo-słodowego kop. 75, tegoż ekstraktu z dodaniem chiny lub żelaza i chiny rs. 1, paczka karmelków kop. 15. Sprzedaż w Aptekach i Składach aptecznych w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie. Główny skład **w Warszawie** w Składzie aptecznym Mrozowskiego i Spiessa, w Odesie u Gajewskiego, w Astrachaniu u Kerna, w Tyflisie u Ajwazowa, w Baku u Czyszkowskiego, w Moskwie u Mattejsena. 6—1

Magazyn Wiedeński

L. Kocha

2 MIODOWA 2

przygotował wielki wybór gotowej garderoby męzkiej podług wiedeńskiego kroju, najnowszej mody i po najprzystępniejszych cenach. Obstalunki podług miary wykonywa szybko i akuratnie. 2—0

Czytelnia dla kobiet

stale zaopatrywana w nowości treści naukowej i wybór dzieł beletrystycznych oraz w pisma peryodyczne zagraniczne i krajowe, mieści się

na Krakowskiem-Przedmieściu Nr. 7.

Abonament miesięczny na książki:

w dwóch językach kop. 40,
w trzech językach kop. 50,
w czterech językach kop. 60,
w pięciu językach kop. 70.

Kaucya po rublu od książki.

Osoby, opłacające abonament, nic nie płacą za czytanie pism na miejscu.

Wejście jednorazowe

kop. 5. 10—5

Fabryka Rękawiczek

J. LUKREC

Tłomackie Nr. 3,

poleca we wszystkich gatunkach i znanym wyborze RĘKAWICZKI, po cenach fabrycznych. 3—2

Ubezpieczenie na życie

w

TOWARZYSTWIE UBEZPIECZEŃ

„ROSYA"

Najwyżej zatwierdzonem w r. 1881.

Ubezpieczenia:

Kapitałów na wypadek śmierci
Pensyj dla wdów
Kapitałów na starość
Pensyj na starość
Posagów dla panien
Stypendyj dla chłopców
Dożywocia (rent).

Ubezpieczeni uczestniczą w zyskach Towarzystwa

Do 1 stycznia 1888 r. w Towarzystwie „ROSYA" ubezpieczyło się **16,681 osób** na kapitał **49,061,640 rubli.**

Dywidenda ubezpieczonych w r. 1888 wynosi 12%

Bliższe szczegóły znajdują się w broszurach Towarzystwa Ubezpieczeń „ROSYA" wydawanych i wysyłanych, na żądanie, BEZPŁATNIE przez **Zarząd w St. Petersburgu** (Wielka Morska **Nr. 13**), **Jeneralną Reprezentacyę w Warszawie** (Marszałkowska **Nr. 144**) i przez agentów Towarzystwa w miastach Państwa. 2—2

C Z Y T E L N I A
KAZIMIERY PASZKOWSKIEJ

Nowy-Świat Nr. 58,

Największy wybór nowości naukowych i beletrystycznych w pięciu językach, oraz książki dla dzieci. Pisma i miesięczniki krajowe i zagraniczne. Ceny przystępne. Książki kupują się na żądanie publiczności, a zamówione rozsyłają do domów.

Książki zwracane poddają się dezinfekcyi. 3—1

ANTONI RAUCH

Królewska 47, Telefonu Nr. 457.

Skład hurtowy Olejów, Oliw i Tłuszczów,

poleca pp. Fabrykantom wszelkie oleje roślinne i mineralne, waselinę, oraz różnorodne tłuszcze do potrzeb fabrycznych.

---

122 ark. druku. Rok 1-szy wydawnictwa. **122 ark. druku.**

Nakładem Przedsiębiorstwa Kiosków Warszawskich

wyszedł z druku pierwszy dokładny i wyczerpujący

Przewodnik Przemysłowo-Handlowy

Cesarstwa Rosyjskiego, Królestwa Polskiego i Warszawy

pod tytułem:

„INFORMATOR"

zawierający: **Adresy Premysłowców, Fabrykantów, Kupców i Rzemieślników w Warszawie,** całem **Królestwie Polskiem i 50-ciu miastach Rosyi. Pierwszą dokładną taryfę domów w Warszawie. — 10,800 Adresów Obywateli Ziemskich w Królestwie Polskiem. — Dział Urzędowy, Informacyjny i Kalendarzowy.** — Tytuły w 4-ch językach. — Skład Główny **w Kantorze Administracyi Kiosków,** Plac Teatralny Nr. 11. — Cena za egzemplarz w ozdobnej oprawie rs. 4 kop. 50, z przesyłką pocztową rs. 5. 4—2

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Ноября 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.